



BOLESŁAW LEŚMIAN

---

**Ali-baba i  
czterdziestu  
zbójców**



BOLESŁAW LEŚMIAN

KLECHDY SEZAMOWE

## *Ali-Baba i czterdziestu zbójców*

W jednym z pomniejszych miast perskich mieszkali dwaj bracia. Starszy nazywał się Kassim, a młodszy — Ali-Baba. Ojciec, umierając, zostawił im w spadku szmat ziemi niewielki dla równego podziału<sup>1</sup>. Każdy z braci swoją część otrzymał i na niej osiadł, aby ziemię uprawiać i na kawałek chleba żmudnie, w pocie czoła pracować. Obydwaj żyli w ubóstwie i wspomagali siebie nawzajem. Ale nie długo trwała miłość pomiędzy braćmi. Odmienny bowiem mieli charakter i różne dusze. Kassim był zły, pochmurny, zawistny i na dukaty łakomy, Ali-Baba zaś był łagodny, wesoły, nikomu bogactw nie zazdrościł i nie pragnął złota. Kassim narzekał na los, na ludzi i na swoje ubóstwo, Ali-Baba zaś na los nie narzekał, ludzi kochał i nie wstydził się swego ubóstwa. Kassim pomalował swoją chałupę na czarno i rzekł do Ali-Baby:

— Życie jest czarne, los jest czarny i dusze ludzkie są czarne, więc niechże i moja chałupa będzie czarna jak noc.

Ali-Baba zaś swoją chałupę pięknie i jasno pobielił i rzekł do Kassima:

— Życie jest białe, los jest biały i dusze ludzkie są białe, więc niechże i moja chałupa będzie biała jak dzień o świcie.

I każdy miał taką chałupę, jakiej sam zapragnął.

Kiedy Kassim ze swojej czarnej chałupy wchodził do białej chaty swego brata, wrzeszczał ramionami i mówił z zazdrością:

— Jakże tu jasno i biało i wesoło! Widocznie Bóg się tobą bardziej, niż mną, opiekuje... O mnie zupełnie zapomniał. Smutno mi na świecie i czarno i markotnie.

Na to Ali-Baba odpowiadał:

— Nie składaj winy na Boga, bo to nie Jego, lecz twoja własna wina. Bóg ci nie kazał chałupy na czarno malować i smuć się w jej wnętrzu. Przemaluj ją na biało, a zobaczysz, jak się oczy twoje rozweselą.

Ale Kassim nie usłuchał rady młodszego brata i nadal mieszkał w czarnej chałupie.

Pewnego poranku postanowili obydwaj bracia ożenić się i tegoż dnia wieczorem już byli żonaci. Ali-Baba wziął za żonę ubogą Zobeidę, córkę swego sąsiada, Kassim zaś wziął za żonę bogatą Aminę, córkę słynnego w mieście kupca. Natychmiast Kassim spalił swoją czarną chałupę, która mu tak obrzydła, i zamieszkał razem z piękną Aminą w olbrzymim pałacu w samym środku miasta.

Ali-Baba udał się wraz ze swoją ubogą Zobeidą do pałacu Kassima, żeby mu powinszować bogatego ożenku. Drzwi pałacu były zamknięte, więc Ali-Baba laską do drzwi zapukał. Kassim usłyszał pukanie i domyślił się, że to Ali-Baba przyszedł w odwiedziny. Nie kazał jednak drzwi otworzyć, jeno<sup>2</sup> sam wybiegł na krużganek pałacu i stamtąd dumnie i wyniośle spojrzął na Ali-Babę, który wraz z żoną stał na ulicy i, radośnie uśmiechnięty, witał brata pokłonem.

Nie odklonił mu się Kassim, jeno się sztywnie wyprostował, pusząc się i nadymając od nadmiernej pychy.

Obraz świata, Bieda, Dom

Pycha

<sup>1</sup>dla równego podziału — dziś popr.: do równego podziału. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

— Kassimie, bracie kochany! — zawołał Ali-Baba, podnosząc ku niemu głowę — przychodzę wraz z moją żoną Zobeidą, aby ci powinszować bogatego ożenku i życzyć szczęścia i powodzenia!

— Jak śmiesz nazywać mnie bratem? — krzyknął gniewnie Kassim. — Nie znam ani ciebie, ani twojej żony! Chodzisz w łachmanach i masz minę nędzarza, więc nie możesz być bratem takiego, jak ja, bogacza!

— Kassimie, bracie rodzony! — zawołał znowu Ali-Baba — Czy ci się rozum pomieszal? Czy też udajesz tylko, że mnie nie poznałeś? Nie żądam od ciebie złotych dukatów, jeno pragnę miłości braterskiej! Nie przychodzę z prośbą o wsparcie, lecz z życzeniami szczęścia i powodzenia! Czemu ze wstrętem odwracasz się od moich łachmanów? Przecież te łachmany starannie i przychylnie osłaniają ciało twego brata od deszczu i chłodu! Więc powinieneś szanować i cenić moje łachmany za to, że są dla mnie tak przyjazne i tak opiekuńczo przylegają do mego ciała.

Zaśmiał się na to Kassim — i śmiech natychmiast rozweselił, rozpogodził i rozjaśnił jego duszę. Udobruchany śmiechem, rzekł Kassim z kruźganka do Ali-Baby:

— Śmieję się z tego, że tak szczerze wychwalasz swoje łachmany. Ponieważ widzę, że mnie naprawdę kochasz, więc ustępuję twoim żądaniom. Pozwalam ci odwiedzać siebie, ale bardzo rzadko i tylko wieczorem. Wieczorem bowiem świat się ściemnia i ściemniają się postacie przechodniów. W zmierzchu wieczornym możesz niepostrzeżenie wejść do mego pałacu. Nie chcę, aby ktokolwiek zauważył, że taki jak ty nędzarz odwiedza mnie w moim pałacu. I w tej chwili nie mogę cię przyjąć, bo mam bogatych gości. Wstyd by mi było, gdyby goście moi dowiedzieli się, że mam brata nędzarza. Wracaj więc razem z swoją żoną Zobeidą do chałupy. Odwiedzisz mnie kiedy indziej, w czasie odpowiedniejszym.

Pokłonił się Kassimowi Ali-Baba i pokłoniła się Zobeida. Wzięli się oboje za ręce i podybali<sup>3</sup> do swojej białej chałupy. Odtąd Kassim spędzał życie w pałacu, na ucztach nieustannych. Ali-Baba zaś co dzień pędził do lasu dwa muły, rąbał w lesie drwa, narąbanym drzewem objuczał swoje muły, wracał z nimi do miasta i sprzedawał drzewo na targu. W ten sposób zarabiał na kawałek chleba. Lecz ów ciężko zarobiony chleb przyjemnie mu było spożywać w białej, jasnej, wesołej chałupie.

Smakował chleb Ali-Babie i smakował Zobeidzie. Oboje byli szczęśliwi i wieczorem po ukończonej pracy śpiewali pieśni rozmaite. Kassim jadł dużo i spał na łożu puchowym, ale żadnych pieśni nie śpiewał.

\*

Razu pewnego popędził Ali-Baba swe muły do lasu, aby swoim zwyczajem wiązkami narąbanego drzewa objuczyć ich pracowite grzbiety. Dzień był pogodny. Słońce świeciło tak jasno i złościście, że trzeba było mrużyć oczy. Ali-Babie się zdawało, że ptaki, śpiewając, też mrużą na słońcu swoje błękitne i czerwone oczy w żółtych i czarnych obwódkach. A w lesie roiło się od ptaków.

Papugi pąsowe, zielone i białe napelniały powietrze krzykiem, podobnym do szczenia.

Jedna olbrzymia papuga pąsowa, zwana Arą pąsową, mówiła w języku papuzim do swojej zielonej sąsiadki:

— Jak możesz ciągle chodzić w zielonej sukni! Ja bym za żadne skarby świata nie przywdziała nie tylko zielonej sukni, lecz nawet zielonego stanika. Nie znoszę koloru zielonego. Najładniejsza jest suknia pąsowa z pąsowym ogonem. — I, mówiąc to, poruszyła z lekka swoim pąsowym ogonem.

Na to rzekła zielona papuga:

— Nie znoszę koloru pąsowego! Ani moja matka, ani moja babka, ani moja prababka nie nosiły sukien pąsowych. Kolor pąsowy od dawna wyszedł z mody, przynajmniej w naszej rodzinie. Kto mieszka w lesie, powinien być zielony, jak las! Najładniejsza jest suknia zielona z zielonym ogonem. — I, mówiąc to, poruszyła z lekka swoim zielonym ogonem.

Wówczas jedna z białych papug wtrąciła się do rozmowy.

<sup>3</sup>podybać (reg.) — pójść, udać się. [przypis edytorski]

— Nie kłóćcie się, moje kochane! — zawołała ze śmiechem. — Boję się, że kłótnia pobudzi was do złości, a złość może odmienić wasze kolory!... Sama na własne oczy widziałam miesiąc temu, jak jedna pąsowa papuga ze złości zzieleniała, a druga zielona — spąsowiła. Co do mnie, nie znoszę ani pąsowej, ani zielonej sukni. W mojej rodzinie istnieje przysłowie:

W życiu jeden tylko cel:  
Białym być i kochać biel.

Tak, moje pąsowe i zielone kumoszki! Najładniejsza jest suknia biała z białym ogonem. — I, mówiąc to, z lekka poruszyła swoim białym ogonem.

Ali-Baba nie rozumiał języka papuziego. Zdawało mu się, że papugi tylko szczekają bez sensu i bez związku. Szedł dalej, poganiając swe muły. W oczach migaly mu co chwila kolibry — ptaszki małe, jak chrabąszcze, z dziobkami cienkimi, niby igły. Na gałęziach tu i ówdzie siedziały małpki drobne i płochliwe. Małpki te w dziób układały swe pyszczki i głośno gwizdały, zupełnie, jak kanarki. Gdyby Ali-Baba znał język tych małpek, zrozumiałby piosenkę, którą gwizdały:

„Las dokoła szumi, gwarzy,  
Opowiada bajki-straszki.  
Choć nam nie brak małpiej twarzy,  
Chcemy gwizdać, niby ptaszki.  
Po jeziorze płynie woda,  
Śpiew nasz płynie hen — po świecie.  
Co za szkoda, co za szkoda,  
Że nam skrzydeł brak na grzbiecie!”

Tak śpiewały małpki.

Słońce świeciło coraz mocniej. Cienie od gałęzi padały na ziemię i poruszały się na niej, niby żywe. Kwiaty, zagrzane słońcem, pachniały. Ali-Baba szedł dalej, pędząc przed sobą swoje muły.

W ten sposób zaszedł w głąb lasu — w najdalsze szумы i gąszcze. Tam ujrzał skałę olbrzymią. Od skały cień padał na polanę leśną. Lecz cień skały nie poruszał się za wiatrem, jak cienie drzew. Leżał nieruchomo i zasłaniał trawę i kwiaty. A że cień skały był błękitny, więc i trawa i kwiaty nabrały od tego cienia błękitnawej barwy.

— Odpocznę sobie w cieniu tej skały — pomyślał Ali-Baba — a potem zabiorę się do rąbania drzewa.

Ali-Baba przysiadł w cieniu skały. Obydwa muły przystanęły obok Ali-Baby i zaczęły szczytać soczystą, wysoką, wonną trawę.

Ali-Baba patrzył na słońce, na drzewa, na ptaki i mówił:

— Żaden pałac nie jest tak piękny, jak las. W pałacu płoną świece albo lampy, a w lesie płonie samo słońce. W pałacu stoją martwe meble, piętrzą się martwe ściany, a nad nimi trwa zawsze jednaki martwy sufit. W lesie zaś szumią żywe drzewa, śpiewają żywe ptaki, brzęczą żywe owady, pachną żywe kwiaty — i ponad tym wszystkim, zamiast martwego sufitu, jaśniej żywe niebo, które się wечно zmienia, napełniając się coraz to nowymi blaskami i obłokami. Żaden ptak, żaden obłok, żaden wicher nie zamieszkałby nawet w najpiękniejszym pałacu. Tylko człowiek lubi więzić siebie w czterech ścianach. I jeżeli te ściany są złote, wówczas nazywa swoje więzienie pałacem. Im więzienie jest mniejsze, tym mniej zabiera miejsca na świecie. A świat jest piękny i dla każdego dostępny. Pełno na świecie bajek — ale najpiękniejsze bajki kryją się w lesie. Bajki czają się w gęstych krzakach, szumią w rozchwianych gałęziach, dzwonią w powietrzu wtedy właśnie, kiedy i cisza dzwoni. Bo kto się ciszy długo przysłuchiwał, ten wie, że cisza w uszach dzwoni.

Mówiąc te słowa, Ali-Baba zaczął się tak długo przysłuchiwać ciszy leśnej, aż zadzwoniła mu w uszach. Potem Ali-Baba ukląkł i szepnął:

— Boże! Zrób tak, żeby mnie w lesie zaskoczyła nagle i niespodziana bajka! Niech ta bajka będzie straszna i groźna, byleby była ciekawa i piękna.

Las

Wieżenie

Cisza, Tajemnica, Modlitwa

Muły, widząc, że Ali-Baba klęczy, też pokłękaly na przednich nogach, jakby modliły się o bajkę.

W tej chwili w gęstwinie leśnej coś zaszumiało, zachrzęściło, zatętniło i zadudniło.

Obydwa muły jednocześnie podniosły się z ziemi i, złęknione, przytuliły się nawzajem do siebie. Ali-Baba przypadł uchem do ziemi i nasłuchiwał... Ponieważ Ali-Baba przywykł do wsłuchiwania się w ciszę leśną, więc miał ucho wprawne i czujne na wszelkie odgłosy. Toteż natychmiast rozróżnił tętent kopyt końskich. Tętent zbliżał się i zbliżał, i zbliżał... Ali-Babie zdawało się na razie, że pędzą dwa konie. Potem zgadywał, że jest ich dziesięć. Potem zrozumiał, że tak głośny tętent może pochodzić co najmniej od dwudziestu albo i więcej, niż dwudziestu, rumaków. Wówczas skoczył na równe nogi i pomyślał, że lepiej się ukryć, bo nie wiadomo, kto na tych rumakach nadjeżdża. Przede wszystkim ukrył obydwie swoje muły w krzaku i przywiązał do krzaka tak, aby się nie mogły poruszyć. Następnie sam wdrapał się na drzewo, które rosło obok skały. Drzewo było tak gęste, że zasłoniło Ali-Babę swymi gałęzmi. Mógł więc spokojnie siedzieć na drzewie i patrzeć poprzez liście na polanę.

Tętent koński wciąż się zbliżał. Ziemia drżała i grzmiała od tego tętentu, a echo niosło go po lesie. Wreszcie z gęstwy leśnej wynurzyła się jedna morda końska, za nią druga i trzecia... Po chwili kilkudziesięciu jeźdźców wpadło na polanę. Wszyscy byli brodaci i wąsaci. Wszyscy byli zbrojni w miecze, siekiery i łuki. Wszyscy, pochyleni na koniach, strasznie i groźnie mruczeli pod wąsami:

— Jest nas czterdziestu... jest nas czterdziestu... jest nas czterdziestu!

Ten zaś, co jechał na przedzie, jeszcze straszniej i jeszcze groźniej pomrukiwał:

— Jam jest<sup>4</sup> kapitan zbójów... jam jest kapitan zbójów... jam jest kapitan zbójów!...

Ali-Baba poprzez liście szumiącego drzewa policzył zbójów — i rzeczywiście było ich czterdziestu. Oczy ich błyszczały, jak rozżarzone węgle, a sumiaste wąsy poruszały się od ciągłego gniewu. Wszyscy podjechali do skały i zsiadli z rumaków. Wówczas Ali-Baba zauważył, że rumaki zbójeckie były objuczone kuframi, napełnionymi po brzegi niezliczoną ilością dukatów. Zbójcy bowiem grabili ludzi po drogach i po rozstajach i zagrabionym złotem ładowali swoje kufry.

— Ciekawy jestem, gdzie oni pochowają swoje skarby? — pomyślał Ali-Baba na drzewie.

Tymczasem kapitan, trzymając konia za uzdę, spojrział surowo na swoich podwładnych i zapytał:

— Czy wszyscy jesteście? Czy żadnego z was nie brak?

— Jest nas czterdziestu wraz z tobą! Żadnego nie brak — żadnego nie brak — żadnego nie brak! — zawołali chórem zbójcy.

Wówczas kapitan zbliżył się do skały i rzekł głosem grzmiącym:

„Jest tu brama w skale,

I są czary w bramie!

Ku swej własnej chwale

Otwórz się, Sezamie!”

Pod wpływem tych słów magicznych i zaklętych na gładkiej ścianie skalnej zjawiła się brama, jakby ją narysowała nagle ręka niewidzialna. Rysunek bramy stawał się coraz wyraźniejszy, aż wreszcie zgrzytnęły zawiasy, i brama rozwarła się na oścież. Kapitan stanął u wejścia, a zbójcy, dźwigając swe kufry, kolejno wchodzili przez bramę do wnętrza skały. Gdy wszedł ostatni zbójca, kapitan za nim wsunął się do wnętrza. Wówczas brama się zamknęła i zaczęła się stawać coraz mniej wyraźna, coraz bardziej mglista, aż wreszcie pozostał na skale zaledwo widoczny rysunek bramy. Po chwili i rysunek zniknął bez śladu. Nikt by teraz nie poznał, patrząc na skałę, że tai się w niej czarodziejska brama. Skała wyglądała jak dawniej, niby zwykła i wcale nie zaklęta skała.

Ali-Baba siedział na drzewie, pełen strachu, podziwu i ciekawości. Teraz zrozumiał, że zbójcy ukrywają swoje skarby we wnętrzu skały, zwanej Sezamem. I zrozumiał, że Sezam

<sup>4</sup>jam jest — dziś: ja jestem. [przypis edytorski]

otwiera swą bramę tylko przed tym, kto zaklęty czterowiersz w głos<sup>5</sup> powie. Słowa zaklętego czterowiersza brzmiały mu w myśli raz po raz i tak je często powtarzał, aż wreszcie nauczył się ich na pamięć.

Nie schodził jednak z drzewa, gdyż bał się, że zbójcy co chwila<sup>6</sup> mogą wyjść z wnętrza skały na polanę. Siedział więc cierpliwie wśród gałęzi, pomiędzy ptakami, które wprost do ucha śpiewały mu swoje pieśni.

Upłynęło czasu ani mało, ani wiele, jeno tyle właśnie, ile upłynęło. Naraz zgrzytnęły niewidzialne zawiasy i skała znowu się rozwarła na oścież. Zbójcy wyszli z jej wnętrza kolejno, jeden po drugim. Każdy dźwigał pusty kufer, aby go w ponownych grabieżach napelnić dukatami. Na ostatku wynurzył się z rozwartej bramy sam kapitan i brama natychmiast za nim się zamknęła. Miała ona bowiem od wieków taki zwyczaj, że zamykała się sama w chwili, gdy właśnie powinna się być zamknięta. Lecz otwierała się tylko pod tajemniczym nakazem zaklętego czterowiersza.

Kapitan spojrzał groźnie na swych podwładnych, zmarszczył brwi, błysnął oczami, zgrzytnął zębami, poruszył wąsem, tupnął nogą o ziemię i zawołał:

— Czy gotowi jesteście do nowych grabieży, do nowych napadów i do nowych czynów krwiożerczych?

— Jesteśmy gotowi — jesteśmy gotowi — jesteśmy gotowi! — odkrzyknęli chórem zbójcy.

— Czy żadnego z was nie brak? — zapytał znowu kapitan.

— Żadnego nie brak — żadnego nie brak — żadnego nie brak! — odkrzyknęli chórem zbójcy.

Wówczas kapitan skinął dłonią — i wszyscy natychmiast i jednocześnie dosiedli swych rumaków. Rumaki ruszyły z kopyta, ziemia zadudniła, las zahuczał, echo rozległo się po lesie. Zbójcy, odjeżdżając, mruzcili strasznie i groźnie pod wąsem:

— Jest nas czterdziestu — jest nas czterdziestu — jest nas czterdziestu!

A kapitan pomrukiwał jeszcze straszniej i groźniej:

— Jam jest kapitan zbójów — jam jest kapitan zbójów — jam jest kapitan zbójów!

Po chwili wszyscy zanurzyli się w gęstwę leśną i tętent kopyt końskich zaczął się oddalać. Oddalał się i oddalał, aż wreszcie zamilkł i ucichł zupełnie.

Wówczas dopiero Ali-Baba zsunął się z drzewa na ziemię, odwiązał muły, wywiódł je z krzaków i wraz z nimi zbliżył się do skały.

— Nigdy nie wiadomo, gdzie się bajka kryje! — zawołał Ali-Baba, oglądając skałę. — Zdawało mi się dotąd, że bajki najczęściej kryją się w strumieniach, kwiatach, gwiazdach i w obłokach. Na skały zaś patrzyłem zazwyczaj jak na rzeczy martwe, puste i bez bajek. Tymczasem pierwsza bajka, do której w życiu się zbliżam, ukryła się w skale.

Powiedziawszy te słowa, Ali-Baba pogłaskał ręką skałę twardą i zimną i zawołał.

„Jest tu brama w skale,  
I są czary w bramie!  
Ku swej własnej chwale  
Otwórz się, Sezamie!”

Natychmiast na gładkiej ścianie skalnej zjawił się niejasny i mglisty rysunek bramy. Rysunek stawał się coraz wyraźniejszy i dokładniejszy. W końcu rysunek zamienił się w prawdziwą olbrzymią bramę. Wówczas zgrzytnęły zawiasy i brama rozwarła się na oścież. Ali-Baba stanął w bramie i zajrzał do wnętrza jaskini. Spodziewał się zobaczyć ciemność zupełną — ale się omylił. Jaskinia wcale nie była ciemna, lecz, przeciwnie — jasna, a nawet bardzo jasna.

— Nigdy nie wiadomo, gdzie panuje ciemność, a gdzie jasność! — pomyślał Ali-Baba. — Byłem pewien, że właśnie we wnętrzu tej skały panuje ciemność, i już żałowałem, że nie mam przy sobie latarni albo świecy. Tymczasem nigdy jeszcze nie oglądałem takiej dziwnej, cudownej i tajemniczej jasności jak w głębi tej jaskini.

Mówiąc to, popędził przed siebie muły do wnętrza jaskini i sam wszedł za mułami. Brama natychmiast zamknęła się za nim. Co za cuda, co za dziwy ujrzał Ali-Baba

<sup>5</sup>w głos — dziś: na głos. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>co chwila — tu: w każdej chwili. [przypis edytorski]

we wnętrzu zaklętej jaskini! Ujrzał kufry, napełnione dukatami; ujrzał całe stopy kamieni drogocennych; ujrzał drzewa koralowe i olbrzymie pnie zielonego malachitu. Ale to wszystko żyło i poruszało się nieustannie. Brylanty same przesypywały się z brzękiem i szmerem z jednej szkatuły do drugiej. Turkusy, niby krówki boże, zręcznie i zwinnie wpełzały na drzewa koralowe i sfruwały potem z gałązki na gałązkę. Rubiny razem z topazami kręciły się i wirowały po ziemi w jakimś dziwnym rubinowo-topazowym tańcu. Dukaty, dzwoniąc w kufkach, bawiły się nawzajem w orla i reszkę: same podrzucały się w górę i same spadały do swoich kufków, ukazując orla albo reszkę. Olbrzymie zaś pnie zielonego malachitu mówiły do siebie basem:

— Jaka szkoda, że i my nie możemy się bawić w orla i reszkę albo wirować po ziemi w tańcu rubinowo-topazowym, albo na kształt turkusów wpełzać na drzewa koralowe, albo wreszcie przesypywać się z brzękiem i szmerem ze szkatuły do szkatuły, jak brylanty! Możemy za to wyrzucić się i toczyć po ziemi, niby becзки.

I pnie malachitowe, wyrzuciwszy się z trudem, potoczyły się natychmiast po ziemi, niby becзки.

Teraz dopiero pojął Ali-Baba, skąd taka jasność panuje w jaskini. Brylanty, turkusy, topazy, korale i dukaty, rozgrzane tańcem i zabawą, iskrzyły się i płonęły oślepiającym blaskiem. Z brylantów wydobywał się blask brylantowy, z turkusów — turkusowy, z topazów — topazowy, z koralu — koralowy, a z dukatów — dukatowy. I wszystkie te blaski napełniały jaskinię. Widno tu było i tęczowo, i złociście, i cudownie! Nawet pnie malachitowe, tocząc się aż do zmęczenia po ziemi, nabrały zielonego połysku i też rozjaśniały wnętrza jaskini słabym zielonawym światłem.

Długo stał w miejscu Ali-Baba, olśniony widokiem tych dziwów i cudów. I dwa jego muły też stały nieruchome i wpatrzone w tęczowe światła tajemnicznej jaskini.

Upłynęło czasu ani mało, ani wiele, jeno tyle, ile właśnie upłynęło. Ocknął się Ali-Baba ze swego zachwyty i oczarowania i pomyślał, że, póki czas, trzeba jaskinię opuścić, bo zbójcy każdej chwili<sup>7</sup> mogą powrócić i zastać go wśród swoich skarbów. Ponieważ te skarby stały się już zaklęte i zamieniły w bajkę, więc należały do każdego, ktokolwiek do bajki zbliżyć się i przedostać potrafił. Toteż Ali-Baba postanowił częstkę tych skarbów zabrać z sobą do swojej ubogiej chaty. Znalazł w jaskini dwa worki, napełnił je dukatami, objuczył workami swe muły, skierował się ku wyjściu jaskini i znów zawołał:

„Jest tu brama w skale,  
I są czary w bramie!  
Ku swej własnej chwale  
Otwórz się, Sezamie!”

Sezam się natychmiast otworzył. Ali-Baba wraz z mułami wyszedł z jaskini na polaną leśną. Sezam sam zamknął się za nim.

Był już wieczór. Chłodnawy wieczorny wiatr wiał po lesie. Wiał i pachniał kwiatami i wilgotną ziemią. Słońce zachodziło, a ponieważ słońce zachodzące świeci purpurowo, więc pomiędzy pniami drzewnymi widać było purpurowe blaski zachodzącego słońca.

Ali-Baba zerwał kilka gęstych gałęzi i zasłonił nimi worki na grzbietach mułów. Nikt by teraz nie zgadł, że muły dźwigają worki, pełne dukatów. Każdy by pomyślał, że Ali-Baba wraca do domu z wiązkami chrustu na podpalki.

Słońce zachodziło coraz szybciej. Na świecie było coraz ciemniej i coraz wieczorniej. Roje komarów krążyły w powietrzu i tak nieustannie brzęczały, jak gdyby grały na bardzo małych, lilipucich skrzypcach.

Ali-Baba, wesoło pogwizdując, wracał do domu. Gdy się zbliżył do swojej białej chałupy, wziął na plecy obydwa worki, pełne dukatów. Z jednego worka garść dukatów wysypała mu się na ziemię. Ali-Baba pozbierał dukaty i, nie mogąc sobie inaczej poradzić, włożył je wszystkie do ust, tak że mu się policzki odęły<sup>8</sup>. Z odętymi policzkami wszedł Ali-Baba do chałupy. Zobeida była właśnie zajęta gotowaniem wieczery. W chałupie płonęła lampa oliwna i światło od lampy migało na białych ścianach i na białym suficie. Zobeida, ujrawszy swego męża z dwoma workami na plecach, zawołała:

<sup>7</sup>każdej chwili — dziś: w każdej chwili. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>odęć — dziś częściej: wydać. [przypis edytorski]

— Pewno kartofle w workach przywiozłeś? Zaraz je ugotuję na wieczerzę, bo mi właśnie kartofli zabrakło.

Ponieważ Ali-Baba miał gębę pełną dukatów, więc nic nie mógł Zobeidzie odpowiedzieć. Zsunął obydwa worki z pleców na ziemię i patrzył na żonę z uśmiechem.

Zobeida przyjrzała mu się uważniej, klasnęła w dłonie i zawołała:

— Policzki ci spuchły! Trzeba wody zimnej przyłożyć!

Ali-Baba uśmiechał się, lecz nie odpowiadał, tylko dłonią poklepał swoje odęte policzki. Zniecierpliwiło to Zobeidę, że Ali-Baba nic nie mówi, tylko uśmiecha się i odyma policzki, więc rzekła:

— Czemu się tak uśmiechasz, jakbyś miał gębę pełną dukatów?

Ponieważ Ali-Baba naprawdę miał gębę pełną dukatów, więc nie mógł się powstrzymać od śmiechu, słysząc, jak żona niechcący odgadła powód jego milczenia. Nozdrza mu zadrgały, wargi zaczęły się rozchyłać i rozszerzać, i parsknął nagle tak głośnym śmiechem, że wszystkie dukaty wyskoczyły mu z gęby na ziemię i z brzękiem potoczyły się po izbie.

Zdziwiła się Zobeida na widok dukatów i natychmiast zajrzała do worków. Blask złota oślepił ją i oszołomił.

— Skąd wzięłeś tyle dukatów? — spytała uśmiechniętego Ali-Babę.

Ali-Baba opowiedział jej wszystko, co mu się w lesie przytrafiło, a potem dodał:

— Zachowaj to wszystko w tajemnicy i przed nikim słówkiem się jednym nie przegadaj<sup>9</sup>! Gdyby się ludzie dowiedzieli o obecności w naszej ubogiej chałupie tylu dukatów, posądziłiby mnie o kradzież i wtrącili do więzienia.

Na to rzekła Zobeida:

— Muszę policzyć nasze dukaty.

Przykucnęła na ziemi przy workach i zabrała się do liczenia dukatów.

— Kobieto! — zawołał zrozpaczony Ali-Baba. — Czyż nie masz nic lepszego do roboty? Przecież może kto wejść do naszej chaty i zastać cię przy liczeniu dukatów! Na domiar złego nie znasz rachunku i umiesz liczyć tylko do stu!

Zobeida załamała dłonie i rzekła:

— Jestem nieszczęśliwa! Zapomniałam, że umiem liczyć tylko do stu, więc nie mogę nawet policzyć wszystkich dukatów, które do mnie należały!... Ale wiem, co zrobić! Jest właśnie wieczór, a wieczorem wolno mi wejść do pałacu Kassima. Pójdę do pałacu i pożyczę od Aminy garnca do mierzenia zboża. Garncem potrafię zmierzyć ilość dukatów. Będzie to dla mnie radość nie lada, gdy się dowiem, ile garnców złota mam w swojej chałupie!

I Zobeida pobiegła do pałacu.

Kassima w domu nie było, bo wyszedł na miasto, żeby sobie kupić nowego konia, nową fajkę i nową lunetę, gdyż Kassim lubił z krużganku swego pałacu patrzeć przez lunetę na miasto.

Zobeida zastała tylko Aminę.

— Amino! — rzekła — mąż mój przyniósł dzisiaj do chałupy dwa worki zboża, ale nie mam garnca, aby zmierzyć ilość zboża. Pożycz mi swego garnca, a będę ci za to bardzo wdzięczna.

Amina podejrzliwie spojrzała na Zobeidę i odparła:

— To dziwna<sup>10</sup>, że tak późnym wieczorem przychodzisz po garniec. Czyś nie mogła do jutra rana zaczekać?

— Nie mogłam — odrzekła Zobeida.

— Śpieszno ci widać i pilno? — spytała znowu Amina.

— Śpieszno mi i pilno — odpowiedziała Zobeida.

— Niecierpliwisz się i cała płoniesz na twarzy — zauważyła Amina.

— Niecierpliwę się i cała płonę na twarzy — powtórzyła Zobeida.

— Dlaczego? — spytała znowu Amina.

— Dlatego, że mi śpieszno — odrzekła Zobeida.

— A dlaczego ci śpieszno? — pytała dalej Amina.

— Dlatego, że mi pilno — odpowiedziała Zobeida.

<sup>9</sup>przegadać się — dziś raczej: wygadać się. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>to dziwna (daw.) — to dziwne. [przypis edytorski]



Amina uśmiechnęła się podejrzliwie i rzekła:

— Zaczekaj tu chwilę w pokoju, zaraz ci sama garniec przyniosę.

Amina poszła sama do kuchni po garniec. Zdjęła garniec z półki i posmarowała spód smołą. Smarując zaś spód smołą, mówiła:

„Cokolwiek w tym garncu dziś ma być i będzie,  
Niech zaraz od spodu na smole osiedzie”.

Po czym wróciła do pokoju i oddała garniec Zobeidzie.

Zobeida pochwyciła radośnie garniec i rzekła:

— Dziękuję ci, Amino, za pożyczenie garnca! Jak tylko zboże swoje odmierzę, natychmiast ci garniec odniosę.

— Odnieś mi dziś jeszcze, bo mi jest potrzebny — odparła Amina.

Zobeida wróciła do chałupy i poczęła garncem dukaty z worów wygarniać. Co wygarnęła z wora, to wysypała na podłogę. Wysypując zaś, liczyła: „jeden garniec — drugi garniec — trzeci garniec”. — I naliczyła Zobeida garnców ani mało, ani wiele, jeno tyle, ile właśnie było.

Worki już były puste, a cały stos dukatów leżał na ziemi. Zobeida, zmęczona swoją robotą, postawiła garniec na stosie dukatów. Wówczas jeden dukat przylgnął do smoły od spodu.

— Wróc do pałacu — rzekł Ali-Baba — i oddaj Aminie garniec, boś dziś jeszcze oddać przyrzekła, a ja tymczasem dwa doły w naszym ogrodzie wykopię i worki z dukatami w tych dołach pochowam.

Pobiegła Zobeida znowu do pałacu, oddała Aminie garniec i wróciła do chałupy. Ali-Baba tymczasem zdążył worki z dukatami w ogrodzie ukryć.

\*

Amina, otrzymawszy garniec z powrotem, natychmiast spodem go do góry odwróciła i aż krzyknęła z podziwu! Na czarnej smole zlocił się i połyskiwał okrągły wspaniały dukat. Właśnie w tej chwili Kassim wrócił do domu z nowym koniem, z nową fajką i z nową lunetą. Konia zostawił na podwórzu, a sam wszedł do pałacu, trzymając w jednej ręce fajkę, w drugiej — lunetę. Amina pokazała mu garniec z dukatem, przylepionym do smoły i zawołała:

— Twój brat Ali-Baba udaje tylko nędzarza, a w rzeczy samej jest daleko bogatszy od nas! Ty swoje dukaty tylko liczysz, a on swoje dukaty mierzy na garnce!

Słyszając to, Kassim zbladł ze zdumienia, poczerwieniał ze złości i pozieleniał z zazdrości. Zadrgał mu podbródek, zachwiały się pod nim nogi i zatrzęsły mu się ręce. Nowa fajka i nowa luneta wypadły mu z rąk na ziemię. Zgrzytnął zębami i zawołał:

— Jak śmie nędzarz Ali-Baba być bogatszym ode mnie? Pójdę natychmiast do niego i zmuszę go, aby się przyznał, skąd ma owe dukaty.

I Kassim pobiegł do białej chałupy swego brata.

Zdziwił się Ali-Baba, ujrawszy Kassima, wchodzącego do chałupy. Zobeida wyszła przed chwilą do ogrodu, więc Kassim mógł sam na sam z Ali-Babą się rozmówić. Tupnął od razu nogą o ziemię i zawołał:

— Gdzieś ukrył swoje dukaty?

Ali-Baba odpowiedział:

— Nie mam żadnych dukatów.

— Wiem, że masz! — odparł Kassim. — Żona moja posmarowała spód garnca smołą i jeden dukat przylgnął do smoły. Masz tyle dukatów, że je na garnce mierzysz.

— Żona twoja jest mądra, a moja — głupia! — odpowiedział Ali-Baba. — Widać i ja jestem głupszy od ciebie, bom nie potrafił<sup>11</sup> tajemniczy zachować. Trudna rada! Muszę ci wyznać, że mam dukaty i że mierzę je na garnce.

— To za mało! — wołał dalej Kassim. — Musisz jeszcze wyznać, skąd masz dukaty.

— Znikąd — odrzekł Ali-Baba.

<sup>11</sup>bom nie potrafił — dziś: bo nie potrafiłem. [przypis edytorski]

— Jak to: znikąd? — spytał Kassim.  
— Jeśli ci się nie podoba słowo: znikąd, to w takim razie powiem, że mam dukaty skądciś — rzekł Ali-Baba.

— Nie baw się w głupie słówka, lecz mów wyraźnie! — wrzasnął Kassim.  
— Otóż mówię ci wyraźnie, że nie wyznam, skąd mam dukaty — odpowiedział Ali-Baba.

Wówczas Kassim, rozgniewany, krzyknął:

— Jeśli mi natychmiast nie wyznasz wszystkiego, to zaskarżę cię do sądu! Sąd dukaty odbierze, a ciebie, jako złodzieja, wtrąci do więzienia!

Przestraszyły te groźby Ali-Babę i wyznał wszystko przed Kassimem. Opowiedział mu nie tylko o czterdziestu zbójcach i o skarbach, ukrytych w Sezamie, ale nawet nauczył go zaklętego czterowiersza, pod którego wpływem skała czarodziejska otwierała na oścież swoją bramę. Kassim kilka razy z rzędu kazał Ali-Babie ów czterowiersz zaklęty powtarzać, ażeby go dobrze zapamiętać; po czym, nie pożegnawszy się nawet z Ali-Babą, wybiegł z chałupy i wrócił do swego pałacu.

Ali-Baba po wyjściu Kassima wychylił głowę przez okno do ogrodu i zawołał:

— Zobeido, Zobeido!

Zobeida na wołanie męża podeszła do okna i spytała:

— Czemu tak głośno wykrzykujesz moje imię?

Ali-Baba chwycił się oburącz za głowę i znowu zawołał:

— Kobieto! Nieszczęście ściągnęłaś na moją głowę, którą właśnie trzymam oburącz, żeby mi czasem z karku nie spadła! Kassim i Amina wykryli naszą tajemnicę dzięki twojej niecierpliwości i chęci zliczenia dukatów! — I Ali-Baba opowiedział Zobeidzie wszystko, co przed chwilą w chałupie pomiędzy nim a Kassimem zaszło.

— Co teraz będzie? — spytała zatrwożona Zobeida, gdy Ali-Baba skończył swe opowiadanie.

— Albo ja wiem? — rzekł Ali-Baba zrozpaczony. — W każdym razie stokroć lepiej byś zrobiła, ucząc się rachunku, którego nie umiesz, niż rachując złoto, które posiadasz. Kto zna dodawanie, ten przy liczeniu dukatów obejdzie się bez garnca, posmarowanego od spodu zdradliwą smołą.

Zobeida bardzo się zawstydzila i rzekła cichym głosem:

— Natychmiast wróć do chaty i dziś jeszcze w nocy zacznę się uczyć dodawania. Umiem już liczyć do stu, więc mi nauka pójdzie łatwo.

I rzeczywiście Zobeida całą noc uczyła się dodawania, a nad ranem umiała już liczyć do dwustu.

\*

Kassim przez noc całą nie spał. Wciąż rozmyślał o dniu jutrzejszym, bo postanowił z rana pójść do lasu po skarby zaklęte.

Skoro tylko świt rozjaśnił obłoki i pierwszy ptak, poruszony się w gnieździe nad oknem, zaczął śpiewać, Kassim wstał i wyszedł na podwórze. Sam wyprowadził ze stajni dziesięć mułów, na każdego muła dwa puste worki zarzucił i pośpieszył do lasu, pędząc muły przed sobą. Ponieważ Ali-Baba dokładnie mu drogę do Sezamu opisał, więc Kassim drogę znalazł i wkrótce, opętany żądzą złota, zbliżył się do skały. Nie czekając ani chwili, z okiem w skałę zawistnie utkwionym zawołał szybko i niecierpliwie:

„Jest tu brama w skałe,  
I są czary w bramie!  
Ku swej własnej chwale  
Otwórz się, Sezamie!”

Sezam otworzył się na oścież. Kassim worki z mułów pościągał i z dwudziestoma workami pod pachą wbiegł do wnętrza Sezamu, zostawiając swoje muły na polanie leśnej pod skałą.

Kassim wcale się nie przyglądał tańcowi i zabawom turkusów, topazów, rubinów i ko-

Szantaż

Chciwość

rali. Nie czarowało go tęczone światło które nappełniało jaskinię. Myślał tylko o tym, żeby jak najprędzej napchać swoje wory dukatami i wrócić do domu.

Obojętność Kassima na cuda i na czary bardzo się nie podobała pniom malachitowym. Jeden z tych pni, najgrubszy i najsilniejszy, tak się oburzył, że potoczył się gniewnie ku Kassimowi i z całych sił uderzył go w nogi. Kassim jęknął z bólu i upadł na ziemię. Ale wnet z ziemi powstał, podszedł do kufrów z dukatami, zanurzył w nich obydwie dłonie i chciwie poczał dukaty garściami wygarniać, aby je do swoich worków przesytać. Wówczas dukaty przestały bawić się w orla i reszkę, rubiny i topazy zaniechały swego topazowo-rubinowego tańca, turkusy znieruchomiały i nie chciały już na kształt bożych krówek pełzać po drzewach koralowych, a pnie malachitowe, gniewnie mruczając, pochowały się po kątach. Wszystkie czary i cuda Sezamu obraziły się na Kassima za to, że nie umie patrzeć na nie z zachwytem, tylko z chciwością. Wszystko posmutniało, pociemniało i przygasło. Jaskinia nappełniła się zmierzchem. Kassim musiał niemal po ciemku wygarniać dukaty.

Gdy już po brzegi naładował dukatami worki, przypomniał sobie, że zostawił muły na polanie. Postanowił wprowadzić muły do wnętrza Sezamu, objuczyć je ciężkimi workami i wyruszyć natychmiast w drogę powrotną. W tym celu zbliżył się do wyjścia jaskini i znów zawołał:

„Jest tu brama w skale,  
I są czary w bramie!  
Ku swej własnej chwale  
Otwórz się ...”

W tym miejscu Kassim nagle zamilkł i zbladł, bo nie mógł sobie przypomnieć ostatniego słowa, a było to właśnie najważniejsze słowo zaklętego czterowiersza. Uderzył się dłonią w czoło raz i drugi i trzeci i wreszcie zawołał z radością:

— Już wiem! Ta skała nazywa się Rezam!

I, uszczęśliwiony, znowu wygłosił zaklęty czterowiersz:

„Jest tu brama w skale,  
I są czary w bramie!  
Ku swej własnej chwale  
Otwórz się, Rezamie!”

Ale Sezam, nazwany mylnie Rezamem, nie otworzył przed Kassimem swej bramy czarodziejskiej.

Kassim znów się w czoło dłonią uderzył i rzekł:

— Teraz już przypominam sobie doskonale, że ta skała nazywa się Bezam!

Ale Sezam, po raz wtóry mylnie nazwany Bezamem, pozostał zamknięty przed złęczonym Kassimem.

I raz po raz Kassim w czoło się dłonią uderzał i przezywał Sezam Kezamem, Nezamem, Lezamem, lecz nie nazwał go ani razu Sezamem. Z rozpaczą patrzył na swoje wory, pełne złota, i na niewzruszoną ścianę zamkniętej skały. Pnie malachitowe śmiały się po kątach jaskini, a dukaty same wyskakiwały z worków i z powrotem wpadały do swoich kufrów. Wreszcie pamięć Kassima tak się zmaciła, że w końcu zapomniał wszystkich słów zaklętego czterowiersza. Stał blady i drżący z przerażenia.

\*

Tymczasem zbójcy wrócili ze swojej wędrówki po rozmaitych krajach. Wjeżdżając na polanę, spostrzegli dziesięć mułów obok skały. Muły, spłoszone tętentem koni, pouciekały do lasu. Zbójcy poziadali z rumaków, a kapitan rzekł do nich:

— Panowie zbójcy! Nie wiem, do kogo należą te muły, ale domyślam się, że ich właściciel znajduje się w pobliżu Sezamu. Może się ukrył w jakimś krzaku, żeby nas podpatrzeć i podsłuchać. Zanim więc wejdziemy do naszej jaskini, musimy wszystkie krzaki dokładnie obszukać.

Zbójcy natychmiast obszukali wszystkie krzaki, ale nie znaleźli nikogo.

— Panie kapitanie — rzekli chórem — w krzakach nie ma nikogo.

Kapitan zasmucił się i rzekł:

— Mam złe przecucia i czuję, że mi się wąsy zaczynają od gniewu poruszać. Musimy jednak zagrabione w nowej podróży skarby ukryć w naszej jaskini.

To powiedziawszy, kapitan podszedł do skały i zawołał:

„Jest tu brama w skale,

I są czary w bramie!

Ku swej własnej chwale

Otwórz się, Sezamie!”

Natychmiast na skale zjawił się niewyraźny rysunek bramy. Rysunek stawał się coraz wyraźniejszy, aż wreszcie zamienił się w prawdziwą bramę. Zawiasy zgrzytnęły i brama roztwarła<sup>12</sup> się na oścież.

Kapitan zajrzał do wnętrza jaskini i poczerwieniał z gniewu. W bramie stał błdy i drżący Kassim. Stał i przypomniał nagle słowa czterowersza, wygłoszonego przed chwilą przez kapitana, uderzył się dłonią w czoło i powtarzał po niewczasie:

— Otwórz się, Sezamie, Sezamie, Sezamie!

Ujrawszy przed sobą strasznego kapitana, Kassim wyskoczył z Sezamu i rzucił się w tłum zbójców. Myślał, że mu się uda prześlizgnąć pomiędzy czterdziestoma zbójcami i uciec do domu. Ale kapitan uderzył go mieczem w głowę i Kassim padł martwy na ziemię.

Zbójcy, gniewnie poruszając wąsami, weszli po kolei do wnętrza jaskini. Za ostatnim zbójcą wsunął się do jaskini sam kapitan i brama Sezamu natychmiast się za nimi zamknęła.

Wówczas kapitan postawił nogę na zwłokach Kassima i rzekł do swoich podwładnych:

— Panowie zbójcy! Nie wiem, jakim sposobem człowiek, którego stopa moja w tej chwili depcze, przedostał się do wnętrza naszej jaskini. Zapewne, ukryty w krzakach obok skały, podsłuchał słów zaklętego czterowersza. Możemy przypuszczać, że komukolwiek ze swoich przyjaciół lub krewnych powierzył tajemnicę Sezamu wraz z zaklętym czterowerszem. Dlatego też postanowiłem zwłoki tego człowieka pokrajać na cztery części i złożyć u samego wejścia do jaskini. Ktokolwiek odważy się w naszej nieobecności do wnętrza jaskini przedostać, ten zaraz na wstępie zobaczy, jaka kara spada na nieogłędnych śmiałków. Może go przerazi widok zwłok, na cztery części pociętych i zamiast okradać nasze skarby, cofnie się i co prędzej wróci do domu.

Kapitan groźnie spojrział na worki Kassima, leżące na ziemi. Ponieważ nie wszystkie dukaty zdążyły z worków powyskakiwać, więc worki do połowy pełne były dukatów. Zbójcy przesykali resztę dukatów do kufrów, a kapitan tymczasem rozciął mieczem zwłoki Kassima na cztery części i złożył je u wyjścia, po dwie części z każdej strony.

Kapitanowi śpieszno było wyruszyć w drogę na nowe grabieże, więc donośnym głosem wypowiedział zaklęty czterowersz. Sezam otworzył swą bramę, zbójcy wyszli na polanę, i brama się natychmiast zamknęła.

Po chwili zbójcy już siedzieli na swych rumakach, a kapitan na czele groźnie poruszał wąsem i dał znak do odjazdu. Konie ruszyły z kopyta i cała armia zbójców znikła w gęstwinie leśnej.

\*

Długo czekała Amina na powrót swego męża. Czekala daremnie. Kassim nie wracał. Aminę ogarnął niepokój i złe przecucie. Już wieczór zapadał, już pierwsza gwiazda zapłonęła w ciemnych niebiosach, a Kassim do domu nie wracał. Amina posłała swoją służącą, mądrą i piękną Morganę, do Ali-Baby z prośbą, ażeby Ali-Baba natychmiast przyszedł do pałacu.

Ali-Baba przyszedł i Amina doń<sup>13</sup> rzekła:

<sup>12</sup>roztwarła się — dziś raczej: otworzyła się (a. otwarła się). [przypis edytorski]

<sup>13</sup>doń (daw.) — do niego. [przypis edytorski]

— Dzisiaj z rana Kassim poszedł do lasu po skarby zakłete. Dotąd nie wrócił do domu. Boję się, że mu się coś złego przytrafiło. Jestem bezradna i nie wiem, co robić. Może ty mi dasz dobrą radę.

Ali-Baba odpowiedział:

— Zaczekajmy do rana. Jeżeli jutro z rana Kassim do domu nie wróci, pójdę sam do lasu na zwiady.

Nazajutrz z rana Kassim, ma się rozumieć, nie wrócił. Wówczas Ali-Baba z dwoma mułami pośpieszył do lasu. Szedł ani długo, ani krótko, jeno tyle, ile mu właśnie iść wypadło. Z niepokojem w sercu zbliżył się do skały i czterowersz zakłety w głos<sup>14</sup> wypowiedział. Brama Sezamu roztwarza się na oścież i Ali-Baba wraz z mułami wszedł do wnętrza. Jakże się przeraził, gdy tuż u wejścia w tęczowym świetle jaskini ujrzał zwłoki swego brata, rozcięte mieczem na czworo! Ali-Baba załamał ręce i długo stał nad zwłokami brata, smutny i nieruchomy. Trzeba jednak było śpieszyć się z powrotem do niespokojnej Aminy. Ali-Baba wszystkie cztery części zwłok nieszczęśliwego Kassima ukrył w czterech workach, objuczył workami swe muły i wyszedł z Sezamu. Po drodze narwał gałęzi i gałęźmi worki zastonił. Wkrótce przybył do pałacu Kassima. Morgana otworzyła mu drzwi i rzekła:

— Czy bez Kassima wracasz?

— Bez Kassima — odpowiedział Ali-Baba.

— A co masz w oczach? — spytała Morgana, przyglądając się zapłakanyom oczom Ali-Baby.

— Łzy — rzekł Ali-Baba.

— A co masz w ustach? — spytała znowu Morgana.

— Złe wieści — odparł Ali-Baba.

— A co masz w workach? — spytała wreszcie Morgana.

— Zwłoki mego brata — szepnął Ali-Baba.

Morgana smutnie spojrzała na worki i rzekła:

— Muszę swoją panią zawiadomić o śmierci jej męża.

Ali-Baba na to powiedział:

— Uprzedź Aminę, żeby nie płakała głośno po stracie męża, bo mogą posądzić albo ją, albo mnie o zamordowanie Kassima. Nikt bowiem nie domyśla się, z jakiego powodu Kassim tak nagle i niespodzianie utracił życie. A chociaż według naszych perskich zwyczajów żona, której mąż umarł, powinna bardzo głośno płakać, zawodzić i krzyczeć, wszakże prawdziwy smutek nie wymaga głośnych skarg, zawodzeń i krzyków. Niech więc płacze po cichu, tak, jak ja płakałem.

Morgana poszła do Aminy i powtórzyła jej słowa Ali-Baby, a potem wróciła do drzwi i rzekła:

— Już uprzedziłam o wszystkim moją panią. Możesz więc wejść do pałacu ze zwłokami Kassima.

Ali-Baba wziął na plecy dwa worki, a dwa drugie wzięła Morgana i oboje w milczeniu weszli do pałacu. W pałacu był jeden pokój zupełnie ciemny, bez okien. Morgana w tym ciemnym pokoju złożyła zwłoki Kassima i rzekła:

— Słońce należy się żywym, a ciemność umarłym. Niech pan mój spoczywa w ciemności dopóty, dopóki nie pochowamy go na cmentarzu. Tam będą mu śpiewały ptaki i szumiały drzewa, bo i umarli lubią szum drzew i śpiew ptaków.

Amina weszła do ciemnego pokoju i, pochyliwszy się nad zwłokami męża, płakała po cichu, aby jej nikt, prócz Boga, nie słyszał.

Ponieważ Morgana była mądra, więc postanowiła uchronić Aminę i Ali-Babę od podejrzeń ludzkich i wytłumaczyć ludziom nagłą i niespodziewaną śmierć Kassima. W tym celu pobiegła zaraz do apteki i rzekła do aptekarza:

— Panie aptekarzu, przychodzę po pigułki, które się daje ludziom beznadziejnie chorym.

— A któż to jest beznadziejnie chory? — spytał aptekarz.

— Mój pan, Kassim — odparła Morgana.

Aptekarz dał jej pigułki i, kiwając głową, rzekł:

<sup>14</sup>w głos — dziś: na głos. [przypis edytorski]



— Niech pan twój zażyje tych pigulek, ale wątpię, aby mu pomogły. Kto jest beznadziejnie chory, temu żadne pigułki nie pomogą.

Morgana wzięła pigułki i wyszła z apteki. W kilka godzin potem znów do apteki wróciła.

— Panie aptekarzu — rzekła, płacząc — przychodzę po proszki, które się daje konającym.

— A któż to jest konający? — spytał aptekarz.

— Mój pan, Kassim — rzekła Morgana.

Aptekarz dał jej proszki i, kiwając głową, powiedział:

— Niech twój pan zażyje tych proszków, ale wątpię, aby mu pomogły. Kto jest konający, temu żadne proszki nie pomogą.

Morgana wzięła proszki i wyszła z apteki.

Tymczasem po całym mieście zaczęły krążyć pogłoski, że Kassim jest beznadziejnie chory. Potem rozeszły się nowe wieści, że Kassim jest konający. Wszyscy wyczekiwali śmierci Kassima. Toteż nikt się nie zdziwił, gdy wieczorem Amina i Morgana zjawiły się na krużganku pałacowym, głośnym płaczem obwieszczając według obyczajów perskich śmierć Kassima.

W ten sposób dzięki Morganie nikt nie podejrzewał ani Aminy, ani Ali-Baby o morderstwo Kassima. Wszakże zwłoki Kassima były pocięte na czworo. Trzeba więc było tak urządzić, aby podczas pogrzebu nikt tego nie zauważył.

Morgana poszła do Baby-Mustafy, który był łataczem starych butów i miał swój sklepik na samym końcu miasta.

Baba-Mustafa siedział w swym sklepiku z dratwą w ręku i łątał buty. Łatając zaś buty, śpiewał:

„Dratwa moja buty łąta,  
A ja wciąż o skarbach marzę!  
Kto mi w rękę da dukata,  
Temu zrobię, co rozkaże!”

Morgana, słysząc tę piosenkę, podbiegła z tyłu do Baby-Mustafy i zawołała:

— Babo-Mustafu! Nie oglądaj się za siebie, jeno wyciągnij ku mnie rękę.

Baba-Mustafa, nie oglądając się, wyciągnął rękę i rzekł:

— Oto moja ręka!

— A oto mój dukat — odrzekła Morgana, wsuwając mu do ręki dukata.

— Pewno chcesz ode mnie jakiejś tajemniczej i osobliwej przysługi? — spytał Baba-Mustafa.

— Chcę — odpowiedziała Morgana.

— Czy nie wolno mi się odwrócić i spojrzeć na ciebie? — spytał znowu Baba-Mustafa.

— Nie, nie wolno! — zawołała Morgana. — Nie powinienes wiedzieć, kto jestem<sup>15</sup>!

Baba-Mustafa, nie odwracając się, zaśpiewał:

„Dratwa szyje, piosnka dzwoni,  
Świecą gwiazdy, pachną kwiaty!  
Dobry jeden dukat w dłoni,  
Ale lepsze — dwa dukaty!”

I Baba-Mustafa znów wyciągnął rękę.

Morgana włożyła mu do ręki drugiego dukata i rzekła:

— Przyrzecz mi, że zachowasz w tajemnicy to wszystko, o co cię poproszę.

— Przyrzekam — rzekł Baba-Mustafa i zaśpiewał znowu:

„W starym bucie nowe łąty,  
Łata buta nie zeszpeci!  
Kto już dostał dwa dukaty,

<sup>15</sup>*kto jestem* — dziś: kim jestem. [przypis edytorski]

Temu śni się dukat — trzeci!”

— Masz trzeciego dukata — rzekła Morgana, podając dukata Babie-Mustafie.

— Teraz jestem na twoje rozkazy — zawołał Baba-Mustafa.

— Otóż — rzekła Morgana — wstań i idź prosto przed siebie za miasto. Ja zaś pójdę za tobą tak, abyś mnie nie widział. Gdy dojdiesz do pierwszego drzewa za miastem, zatrzymaj się, a ja ci wówczas oczy chustką przewiążę i zaprowadzę do jednego domu. Gdy zaś wejdziemy do wnętrza owego domu, powiem ci, co dalej czynić należy. Nie zapomnij zabrać z sobą dratwy i nici.

Baba-Mustafa wziął dratwę i nici i poszedł prosto przed siebie. Morgana kroczyła w ślad za nim. Baba-Mustafa zatrzymał się w cieniu pierwszego drzewa za miastem. Morgana podeszła do niego z tyłu, zawiązała chustką oczy, wzięła go za rękę i zaprowadziła do pałacu Kassima, do ciemnego pokoju, w którym znajdowały się zwłoki jej pana. Tam Morgana zdjęła chustkę z oczu Baby-Mustafy. Pokój był tak ciemny, że Baba-Mustafa nie widział Morgany i spytał się:

— Co mam teraz czynić?

Morgana zawczasu złożyła w całość wszystkie cztery części zamordowanego Kassima, więc podeszła z Babą-Mustafą do zwłok i powiedziała:

— Zszyj te cztery części w jedną całość.

Baba-Mustafa spełnił jej żądanie. Wtedy Morgana znów mu oczy chustką przewiązała, wyszła z nim z pałacu, odprowadziła go do pierwszego drzewa za miastem i rzekła:

— Stój tu pod drzewem i czekaj, aż odejdę tak daleko, abyś mnie nie mógł zobaczyć. Wówczas ci krzyknę: hop, hop! — na znak, że możesz chustkę zdjąć z oczu.

— Ile razy krzykniesz mi: hop, hop? — spytał Baba-Mustafa.

— Dwa razy — odrzekła Morgana.

— Za każde „hop!” — musisz mi zapłacić dukata — zauważył Baba-Mustafa, który był bardzo chciwy na pieniądze.

Morgana dała mu jeszcze dwa dukaty i pobiegła w stronę pałacu. Gdy była już daleko, zawołała:

— Hop, hop!

Baba-Mustafa zdjął chustkę z oczu, ale już nie zobaczył Morgany. Wrócił natychmiast do swego sklepiku, podzwaniając dukatami.

Nazajutrz z rana odbył się pogrzeb Kassima. Po pogrzebie Amina prosiła Ali-Babę i Zobeidę, aby zamieszkali z nią razem w pałacu, gdyż nie chciała żyć samotnie. W końcu po dniach kilku Amina tak pokochała Ali-Babę i Zobeidę, że podarowała im swój pałac. Ali-Baba stał się bogaczem, bo posiadał pałac i dukaty, które zdobył w czasie pierwszego pobytu w Sezamie.

\*

Pewnego dnia zbójcy wrócili do Sezamu i zatrwożyli się bardzo, nie znalazłszy w swej jaskini zwłok Kassima.

— Panowie zbójcy! — rzekł kapitan, zalany tajemniczym i tęczowym światłem jaskini. — Nieobecność w naszej kryjówce zwłok zabitego przeze mnie człowieka świadczy o tym, że albo jego przyjaciel, albo krewny zna zaklęty czterowiersz. Dzięki znajomości tego czterowiersza wszedł do Sezamu i zabrał te zwłoki, aby je pochować na cmentarzu. Innym sposobem nie mógłby się do Sezamu przedostać. Musimy więc zabić tego człowieka, aby nikt nie posiadał naszej tajemnicy! Dopóty, dopóki on żyje, nie możemy być pewni ani naszych skarbów, ani naszego życia. Jeden z was, panowie zbójcy, powinien odważyć się na udanie się do miasta, ażeby tam odszukać naszego wroga i zawiadomić nas o miejscu jego pobytu. Wówczas wkroczymy do miasta całą zgrają i wroga naszego zabijemy.

Słowa kapitana sprawiły wielkie wrażenie na zbójcach. Sumienie ich było obarczone taką niezliczoną ilością zbrodni i kradzieży, że żaden z nich nie śmiałby wejść do miasta, gdzie zewsząd czyhało niebezpieczeństwo. W mieście mogli wykryć obecność zbójcy, oddać go pod sąd i ukarać.

Ojczyzna, Honor

Dlatego też zbójcy zamyśliли się głęboko i milczeli, poruszając z lekka wąsami i gładząc ręką olbrzymie brody. Nareszcie jeden z nich, młody Alof, wystąpił naprzód, wsparł się łokciem o pień malachitowy i zawołał:

— Bracia zbójcy! Jestem młody i silny. Nie znam strachu ani lęku. Kocham was i kocham Sezam, w którym się wychowałem od dziecka. Sezam jest moją ojczyzną, a wy jesteście moimi braćmi. Chętnie poświęcę swe życie dla was i dla Sezamu. Pójdę do miasta i mam nadzieję, że znajdę naszego wroga. Jeśli nie znajdę — niech sam kapitan głowę mi mieczem odrąbie!

— Jeśli nie znajdziesz — niech sam kapitan głowę ci mieczem odrąbie! — powtórzyli zbójcy chórem.

Kapitan położył dłoń na ramieniu Alofa i rzekł:

— Idź do miasta, Alofie, i wróć do nas z dobrą nowiną. Pamiętaj, że śmierć cię czeka z mej ręki w razie, jeżeli ci się wyprawa nie uda. Właśnie już wieczór zapada, więc łatwiej ci będzie i bezpieczniej wejść do miasta wieczorem, niż przy dziennym świetle.

Alof skłonił się kapitanowi i wyruszył do miasta.

\*

Pierwszym sklepikiem, który Alof, podchodząc do miasta, zobaczył, był sklepik Baby-Mustafy. Baba-Mustafa, jak zazwyczaj, siedział z dratwą w ręku i latał buty.

Alof podszedł do niego i rzekł:

— Co robisz, dobry człowieku?

Baba-Mustafa zaśpiewał w odpowiedzi:

„Łatam obuwie,  
Sam z sobą mówię,  
Sam z sobą gadam  
I piosnki składam”.

Alof pochylił się nad nim i rzekł z udanym współczuciem:

— Już wieczór zapada, a ty wciąż jeszcze ślęczysz nad robotą? Możesz sobie oczy nadwyrężyć. Dziwię się, że pomimo starości, potrafisz po ciemku buty latać.

Baba-Mustafa uśmiechnął się chełpliwie i odpowiedział:

— Nie oddałbym swoich oczu za twoje, chociaż jesteś młodszy. Niedawno w zupełnie ciemnym pokoju zszywałem zwłoki jakiegoś nieszczęśliwca, porąbanego na czworo. Zszyłem tak zręcznie i tak dokładnie, że nikt by nawet szwów nie rozpoznał. Mam oczy sobie, widzę po ciemku!

Posłyszawszy te słowa, zbójca drgnął z radości, ale pohamował swoje wzruszenie i powiedział:

— To bardzo rzadki wypadek, ażeby czyjekolwiek zwłoki były porąbane na czworo. Jakże się nazywał ów nieszczęśliwiec?

— Albo ja wiem? — odparł Baba-Mustafa.

— Przypomnij sobie! — szepnął zbójca i położył przed Babą-Mustafą dukata.

Baba-Mustafa dukata schował do kieszeni i rzekł:

— Kto nie widział nic zgoła, ten przypomnieć nie zdoła! Historia to zaklęta, pamięć jej nie pamięta, wspomnienie nie wspomina! Przyszła do mnie dziewczyna, stanęła za plecami, płaciła — dukatami! Uszy moje ją słyszały, ale oczy nie widziały... Gdy noc błysła na niebie, kazała iść przed siebie. Tuż za miastem, na lewo, gdzie pierwsze stoi drzewo, przewiązała oczy chustą i wiodła mnie w przestrzeń pustą, aż zawiodła po kryjomu do nieznanego domu. W tym zaś domu — mrok głęboki i pocięte w czworo zwłoki. Wziąłem dratwę, wziąłem nić i zacząłem trupa szyć. Szyłem chwacko, z całych sił — ale nie wiem, kto to był?

Alof znów dał dukata Babie-Mustafie i powiedział:

— Jeśli mi nie odmówisz swojej pomocy, nie pożałuję ci dukatów. Tak mnie twoje opowiadanie zaciekało, że chciałbym koniecznie ów dom tajemniczy odnaleźć.

Baba-Mustafa odpowiedział mu na to:

Tajemnica

— Chętnie bym ci w tym dopomógł, bo widzę, że jesteś chojny i dukatów nie żałujesz, ale nie wiem, jak to uczynić. Nie znam ani dziewczyny, która do mnie przyszła, ani drogi, po której mnie prowadziła, ani domu, do którego mnie wwiiodła, ani trupa, którego zsywałem. Wiem tylko, że dziewczyna była przebiegła, droga — krótka, dom — ciemny, a trup — porąbany na czworo.

Zamyślił się Alof i po chwili rzekł:

— Masz słuszność, że dziewczyna była przebiegła. To też powinniśmy być przebieglejsi od niej. Pójdź ze mną za miasto aż do owego drzewa, gdzie przebiegła dziewczyna przewiązała ci oczy chustą. Pod tym samym drzewem przewiążę ci oczy chustą, a może ci się uda w ten sposób po omacku i na oślep dojść do tego samego domu.

Alof znów dał dukata Babie-Mustafie i obydwaj natychmiast wyruszyli w drogę. Doszli wkrótce do pierwszego drzewa za miastem. Alof przewiązał Babie-Mustafie oczy chustą i rzekł:

— Staraj się teraz przypomnieć sobie kierunek, w którym szedłeś razem z dziewczyną.

— Dobrze — odpowiedział Baba-Mustafa. — Ja będę się starał iść w tym samym kierunku, ty zaś, ile razy w drodze przystanę, aby kierunek przypomnieć, kładź mi do ręki dukata dla tym lepszego przypomnienia.

Alof się na to zgodził i Baba-Mustafa z zawiązanymi oczyma zaczął kroczyć po drodze, zgadując coraz wyraźniej kierunek do pałacu Kassima, w którym teraz mieszkał Ali-Baba. Można było pomyśleć, że się bawią w ciuciubabkę. Baba-Mustafa co chwila niemal zatrzymywał się i mówił:

— Znów zapomniałem kierunku! Daj mi prędzej dukata, bo w przeciwnym razie nie przypomnę sobie dalszej drogi.

Otrzymawszy dukata, Baba-Mustafa szedł dalej i w końcu zatrzymał się przed samym pałacem Ali-Baby.

— Zdaje mi się, żeśmy doszli do owego domu — rzekł Baba-Mustafa.

Alof zdjął mu chustkę z oczu i powiedział:

— Wracaj teraz do swego sklepiku i nikomu nic nie mów o tym, co zaszło.

Baba-Mustafa, brzęcząc dukatami, udał się z powrotem do swego sklepiku, a Alof wyjął z kieszeni kredę i kredą naznaczył próg domu, żeby go potem poznać. Zadowolony z udanej wyprawy, wyszedł z miasta i skierował kroki wprost do lasu, ażeby o wszystkim zawiadomić kapitana i swoich towarzyszy.

Gdy Alof się oddalił, Morgana, wracając z miasta do pałacu, spostrzegła na progu biały znak, którego dawniej nie było. Morgana ten znak bardzo zastanowił, a nawet zaniepokoił.

— Kto zrobił ten znak i w jakim celu? — pomyślała mądra Morgana. — Czy dla psoty, czy dla jakich innych zamiarów? Jeśli nie dla psoty, to tylko dlatego, aby dom, naznaczony kredą, od innych domów odróżnić. A w takim razie zrobił to jakiś człowiek obcy, który nie zna miasta ani domów, znajdujących się w naszym mieście. Jeśli zaś dom kredą naznaczył, to z pewnością ma jakieś złe zamiary względem tego domu. Trzeba więc uczynić tak, aby ów obcy człowiek nie mógł domu po znaku kredowym rozpoznać.

I Morgana przykucnęła pod progiem, aby znak kredowy zetrzeć; lecz nagle wstała i rzekła sama do siebie:

— Byle głupiec wpadłby na taką samą myśl, na jaką ja wpadłam przed chwilą. Nic łatwiejszego, jak znak kredowy zetrzeć. Wolę obmyśleć trudniejszy sposób pogmatwania zamiarów owego nieznanego mi człowieka. Oto naznaczę kredą progi kilku innych sąsiednich domów. Wówczas nikt nie potrafi naszego domu od sąsiednich po znaku kredowym odróżnić.

Morgana kupiła natychmiast w sklepie kawałek kredy i wyrysowała na progach domów sąsiednich takie same znaki kredowe.

\*

O północy zbójcy zbliżyli się do miasta z Alofem na czele. Alof miał im wskazać dom Ali-Baby, oni zaś zamierzali wszystkich mieszkańców tego domu wymordować, a dom spalić. Domyślili się bowiem, że w tym właśnie domu mieszka ich wróg, który zna zakłętą czterowersz i który wyniósł z jaskini Sezamu zwłoki Kassima. Kapitan kazał zbójcom

czekać pod miastem, a sam z Alofem poszedł wprost do owej dzielnicy, gdzie znajdował się dom kredą naznaczony.

Alof szedł przodem, a kapitan za nim. Kapitan rzekł po cichu:

— Jak to dobrze, żeś dom kredą naznaczył! Po znaku kredowym łatwo dom poznać. Szczęśliwa myśl przyszła ci do głowy.

Alof, zadowolony z pochwały kapitana, uśmiechnął się i powiedział:

— Nie jestem zarozumiały, ale każdy mi przyzna, że postąpił<sup>16</sup> mądrze. Łataczowi butów przewiązałem oczy chustą i kazałem mu całą drogę po omacku i na oślepie odnaleźć, dom zaś naszego wroga naznaczyłem kredą, tak że nie możemy teraz pomylić się ani też nie mamy potrzeby długo szukać tego domu.

Byli już właśnie w tej dzielnicy, gdzie stał pałac Ali-Baby. Alof podszedł do jednego z domów, zobaczył znak kredowy na progu i szepnął do kapitana:

— Spójrz, kapitanie — oto jest znak kredowy. Tu w tym domu mieszka nasz wróg!

Kapitan spojrział na znak kredowy i z wdzięcznością ucisnął dłoń Alofa.

— Wróćmy teraz do naszych towarzyszy — rzekł kapitan — i razem z nimi napadniemy na ten dom.

Poszli więc z powrotem, lecz, przechodząc koło następnego domu, kapitan zatrzymał się nagle i zawołał:

— Cóż to znaczy, Alofie? Na progu tego domu widzę taki sam znak kredowy!

Alof spojrział na znak kredowy i sam zbladł, jak kreda.

— Nie rozumiem, skąd się wziął ten drugi znak — szepnął, spuszczać oczy. — Przysięgam ci, kapitanie, że naznaczył<sup>17</sup> jeden tylko dom!

Kapitan nic nie odpowiedział i poszedł dalej, ale po chwili znów się zatrzymał koło innego domu i znów zawołał:

— Alofie, widzę trzeci znak na progu innego domu!

Alof pochylił głowę i milczał. Wiedział, że go czeka śmierć z ręki kapitana. Kapitan tymczasem spostrzegł inne znaki kredowe na innych domach i rzekł:

— Któryż z tych domów jest domem naszego wroga? Przecież nie możemy tych wszystkich domów spalić i wszystkich mieszkańców wymordować!

— Kapitanie — szepnął Alof — myślałem, że jestem mądry i przebiegły, ale widocznie jest ktoś mądrzejszy i przebieglejszy ode mnie! Nie wiem, kto naznaczył inne domy kredą, to jedno wiem tylko, że<sup>18</sup> obietnicy swojej nie spełnił i wroga naszego nie odnalazłem. Chętnie więc głowę swoją pod miecz oddam, gdyż na karę śmierci zasłużyłem.

Nic kapitan na to nie odpowiedział, jeno kroku przyspieszył, aby jak najprędzej wraz ze zbójcami do Sezamu wrócić.

Zbójcy pod miastem czekali na dalsze rozkazy kapitana i marzyli o tym, że się zemszczą na swoim wrogu. Lecz kapitan zbliżył się do nich ponury, z wielkim marsem na czole. Alof w milczeniu szedł za kapitanem.

— Panowie zbójcy! — rzekł kapitan, groźnie poruszając wąsami. — Wyprawa nasza nie udała się i musimy co prędzej wracać do lasu, ażeby śmiercią ukarać Alofa.

Wszyscy, milcząc, wyruszyli w drogę powrotną do lasu. Późną nocą stanęli przed Sezamem. Kapitan zawołał:

„Jest tu brama w skale,  
I są czary w bramie!  
Ku swej własnej chwale  
Otwórz się, Sezamie!”

Sezam się otworzył i kapitan ręką dał znak Alofowi, ażeby wszedł pierwszy do jaskini. Alof dumnie podniósł głowę, mężnie spojrział na kapitana i wszedł pierwszy. Za nim weszli inni zbójcy — smutni i zamyśleni. Za zbójcami wszedł kapitan i brama Sezamu natychmiast zamknęła się za nimi. We wnętrzu Sezamu, jak zawsze, panowało światło tęcze. Zbójcy ustawili się szeregiem po obu stronach jaskini. Kapitan rozkazał Alofowi

<sup>16</sup>żem postąpił — dziś: że postąpiłem. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>żem naznaczył — dziś: że naznaczyłem. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>żem nie spełnił — dziś: że nie spełniłem. [przypis edytorski]



stanąć po środku. Alof stanął dumnie i śmiało. Widać było, że nie lęka się ani śmierci, ani miecza. Kapitan właśnie obnażył miecz i zawołał:

— Przrzekliśmy sobie nawzajem, że ten, komu wyprawa na wroga się nie uda, zginie od miecza! Czy pamiętasz, Alofie, to przrzeczenie?

— Pamiętam — odrzekł Alof spokojnie — i chcę zginąć od miecza!

Wówczas zbójcy zaczęli chórem szeptać do kapitana:

— Zlituj się nad Alofem! Przebacz Alofowi.

Alof dumnie się wyprostował i zawołał:

— Nie znoszę litości! Nie przyjmuję przebaczenia! Przrzekliśmy sobie nawzajem ukarać śmiercią tego, kto wroga odnaleźć nie potrafi. Nie tylko ja kapitanowi, lecz i kapitan mnie dał to samo przrzeczenie! Ja obiecałem umrzeć własnowolnie, on zaś obiecał zabić mnie własnoręcznie. Słowa raz danego łamać nie wolno! Niechże więc kapitan spełni swoje przrzeczenie!

Słyszając to, zakłęte brylanty wyskoczyły ze swoich szkatuł i potoczyły się do stóp Alofa, ażeby w ten sposób uczcić jego dumę i odwagę. Topazy i rubiny wpelzły mu na piersi, na ramiona i na ręce i ułożyły się na ramionach i na piersiach w cudowne wzory, a na palcach w drogocenne sygnety, bo chciały go na śmierć przystroić i przyozdobić po królewsku. Pnie malachitowe podbiegły ku niemu, żeby się z bliska przyjrzeć jego odwadze i dumie.

Wówczas kapitan podniósł miecz do góry i rzekł:

— Złóż głowę na pniu malachitowym!

— Żegnaj, kapitanie! Żegnajcie, bracia zbójcy! I ty żegnaj, zakłęty, cudowny, tajemniczy Sezamie!

Tak zawołał Alof i złożył głowę na pniu malachitowym. Miecz błysnął i świsnął w powietrzu — i głowa Alofa stoczyła się z pnia malachitowego na czarodziejską ziemię Sezamu. W tej chwili turkusy, które wdrapały się na sam wierzchołek drzewa koralowego, ażeby stamtąd oglądać śmierć śmiałego Alofa, z brzękiem pospadały na ziemię, niby lzy...

Zbójcy stali w milczeniu. Nikt się nie poruszył, nikt słowa nie śmiał powiedzieć. Kapitan zmarszczył brwi i długo patrzył na własny miecz, krwią ociekający.

Upłynęło czasu ani mało, ani wiele, jeno tyle właśnie, ile upłynęło. Kapitan pierwszy poruszył się i przemówił:

— Panowie zbójcy! Wróg nasz dotąd żyje i każdej chwili może się przedostać do naszej zakłętej jaskini! Jest on przebiegły i trudno dać sobie z nim rady. Z jego to przyczyny Alof zginął od miecza w waszych oczach. Tak zginie każdy, kto nie potrafi spełnić wziętego na siebie obowiązku. Któż z was, panowie zbójcy, odważy się teraz pójść na poszukiwanie wroga?

Wszyscy milczeli, patrząc na ściętą głowę Alofa. Wreszcie wystąpił naprzód jeden ze zbójców, któremu było na imię Achmed, i rzekł:

— Wiem, jaka mnie czeka kara w razie, jeśli mi się wyprawa nie uda. Mimo to chcę iść do miasta, aby wroga wytropić. Kochałem Alofa i pragnę zemścić się na owym człowieku, który był powodem śmierci Alofa.

— Idź więc natychmiast do miasta — rzekł kapitan — i pamiętaj, że miecz mój głowę ci zetnie, jeżeli nie uda ci się twoja wyprawa.

Achmed pokłonił się kapitanowi i wyszedł z Sezamu — wprost do miasta.

\*

Pierwszym sklepikiem, który Achmed, zbliżając się do miasta, zobaczył, był sklepik Baby-Mustafy. Achmed natychmiast podszedł do Baby-Mustafy, dał mu dziesięć dukatów i kazał się prowadzić do owego domu, gdzie Baba-Mustafa zszywał zwłoki człowieka, porąbanego na czworo.

Poszli razem za miasto, do pierwszego drzewa. Achmed przewiązał chustą oczy Babie-Mustafie i Baba-Mustafa znów trafił z przewiązanymi oczyma do domu Ali-Baby.

Achmed naznaczył drzwi domu czerwonym ołówkiem, ale zrobił znak bardzo mały, żeby trudno było go dostrzec. Zadowolony ze swego pomysłu, udał się w drogę powrotną do Sezamu.

Właśnie w tym czasie Morgana, wracając z miasta do pałacu, stanęła przy drzwiach i pomyślała:

— Na pewno ów człowiek, który próg pałacu kredą naznaczył, zobaczył już takie same znaki na innych domach i, żeby uniknąć pomyłki, zrobił teraz inny znak w innym miejscu naszego domu. Domyślam się nawet, że zrobił znak innego koloru i taki mały, żeby go trudno było spostrzec.

Morgana zaczęła uważnie przyglądać się drzwiom pałacu. Po chwili rzeczywiście znalazła na drzwiach mały czerwony znak. Kupiła natychmiast w sklepie czerwony ołówek i zrobiła na drzwiach sąsiednich domów takie same małe czerwone znaki.

\*

Nazajutrz w nocy zbójcy znów przywędrowali do miasta. Wszyscy zatrzymali się pod miastem, kapitan zaś wraz z Achmedem poszli do miasta, aby dom, czerwonym ołówkiem naznaczony, odnaleźć. Achmed szeptem mówił do kapitana:

— Nie jestem zarozumiały, ale każdy mi chyba przyzna, że postąpił<sup>19</sup> mądrze i przebiegle. Każdy z łatwością mógł zgadnąć, że Ałof swój znak zrobił kredą, bo kreda się osypuje i nie przylega mocno do drzewa lub do kamienia. Ale chyba nikt nie zgadnie, że ja swój znak czerwony zrobiłem ołówkiem, a nie farbą. To też, gdyby nasz wróg zupełnie podobne znaki farbą na drzwiach innych domów zrobił, zawsze potrafię odróżnić ołówek od farby i w ten sposób poznam naszego wroga.

Kapitan nic mu na to nie odpowiedział, i szli dalej w milczeniu. Wreszcie Achmed zatrzymał się koło jednego domu i szepnął:

— Oto jest dom naszego wroga! Widzę bowiem wyraźnie na drzwiach znak od czerwonego ołówka.

Kapitan nic Achmedowi nie odpowiedział, jeno zbliżył się do sąsiedniego domu i, milcząc, wskazał palcem taki sam znak na drzwiach.

Achmed zaczął się uważnie przyglądać znakowi, a kapitan po chwili rzekł:

— Jakże ci się zdaje, Achmedzie: jestże to znak od farby, czy od czerwonego ołówka?

— Od czerwonego ołówka — szepnął Achmed i poczerwieniał od wstydu i od gniewu.

Tymczasem kapitan po kolei zbliżał się do innych domów i, milcząc, wskazywał Achmedowi na drzwiach takie same znaki, czerwonym ołówkiem zrobione.

Achmed głowę zwiesił na piersi i rzekł:

— Myślałem, że jestem mądry i przebiegły. Widocznie jest ktoś mędrszy<sup>20</sup> i przebiegły ode mnie. Oddam głowę pod miecz tak samo chętnie i tak samo odważnie jak Ałof, którego kochałem najwięcej ze wszystkich braci-zbójców.

Kapitan milczał i tylko węsami gniewnie poruszał.

Wyprawa znów się nie udała. Zbójcy wrócili do Sezamu, i kapitan własnoręcznie swoim mieczem ścinał głowę Achmedowi.

Zbójcy smutnie patrzyli na dwie głowy swych braci. Liczba ich zmniejszyła się o dwóch śmiałych i odważnych młodzieńców. To też wszyscy chórem mruczeli pod wąsami:

— Jest nas trzydziestu ośmiu... jest nas trzydziestu ośmiu... jest nas trzydziestu ośmiu...

Kapitan spojrział na zbójców i tak do nich powiedział:

— Widzę, że jesteście odważni, ale brak wam przebiegłości. Potraficie mężnie ginąć, ale nie potraficie chytrze postępować. Już dwóch z was próbowało wysledzić naszego wroga — i żaden nie umiał tego uczynić. Obydwaj zginęli od miecza, jak przystało rycerzom, którzy cenią swój honor i nie chcą słowa raz danego złamać. Nie mogą jednak pozwolić na to, abyście ginęli wszyscy po kolei. Tym więc razem sam pójść do miasta na poszukiwanie wroga. Wy zaś zostańcie w Sezamie i wyczekujcie cierpliwie mego powrotu.

I kapitan sam poszedł do miasta.

<sup>19</sup>żem postąpił — dziś: że postąpiłem. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>mędrszy — dziś raczej: mądrzejszy. [przypis edytorski]

Trafił od razu do sklepiku Baby-Mustafy. Dał mu dwadzieścia dukatów i kazał się prowadzić do tajemniczego domu, w którym Baba-Mustafa zszywał zwłoki człowieka porąbanego na czworo.

Baba-Mustafa z zawiązanymi chustą oczami zaprowadził go wprost do pałacu Ali-Baby. Kapitan żadnych znaków ani na progu, ani na drzwiach nie zrobił, lecz za to tak długo przyglądał się pałacowi, że zapamiętał go dokładnie i mógł z łatwością od innych domów odróżnić. Gdy poczuł, że już pałac dość mocno utkwił mu w pamięci, wrócił do Sezamu i rzekł do zbójców:

— Znak, zrobiony kredą lub ołówkiem, może mnie zawieść, ale pamięć nigdy mnie nie zawiedzie. Pałac naszego wroga noszę teraz w pamięci. Nauczyłem się go na pamięć tak dobrze, jak pacierza. Poznam go zawsze: i w dzień, i w nocy, i podczas pogody, i podczas burzy. Ponieważ jednak wróg nasz jest przebiegły, więc i my musimy z nim przebiegle postępować. Długo myślałem nad tym, jakim sposobem mamy wroga w ręce nasze pochwyć, aż wreszcie obmyśliłem sposób najlepszy. Słuchajcie więc uważnie, co wam teraz powiem. Jeden z was pójdzie na targ, przyprowadzi mi dziewiętnaście mułów i każdego muła objuczy dwoma miechami skórzanymi. Wszystkich więc miechów będzie dwa razy po dziewiętnaście, czyli trzydzieści ośm<sup>21</sup>. Są to miechy, w których zazwyczaj kupcy przewożą oliwę z miasta do miasta. Miechy te są tak olbrzymie, że człowiek może się w takim miechu zmieścić, skuliwszy się odpowiednio. Otóż każdy z was ukryje się w takim miechu, a ponieważ jest was beze mnie trzydziestu siedmiu, miechów zaś mamy trzydzieści osiem, więc ostatni miech trzydziesty ósmy napełnię oliwą. Objuczę tymi miechami grzbiety dziewiętnastu mułów, po dwa miechy na każdym mule, i pójdę z nimi do miasta, przebrany za kupca oliwy. Jeżeli ktokolwiek zażąda ode mnie oliwy, pokażę mu trzydziesty ósmy miech, napełniony oliwą. Przechodząc koło pałacu naszego wroga, zatrzymam się, zapukam do drzwi i poproszę o gościnę i nocleg. Ponieważ obyczaj perski nakazuje każdemu przyjmować przechodniów i udzielać im noclegu, więc wróg nasz chętnie mnie wpuści do swego pałacu, a muły każe wprowadzić na podwórze. Gdy wszyscy w pałacu zasną, zbliżę się do okna i rzucę kamykiem przez okno tak, żeby kamyk trafił w miech skórzany. Będzie to znak, abyście z miechów wyszli, wdarli się do domu i zamordowali wszystkich mieszkańców. Potem dom spalimy i uciekniemy do lasu.

Zbójcy byli zachwyceni pomysłem kapitana i podziwiali jego mądrość. Nazajutrz z rana jeden z nich, przebrany za chłopca, poszedł na targ i przyprowadził dziewiętnaście mułów, objuczonych skórzanymi miechami. Gdy wieczór nadszedł, zbójcy ukryli się w miechach. Kapitan trzydziesty ósmy miech napełnił oliwą, przebrał się za kupca i pognął muły do miasta.

Przechodząc koło pałacu Ali-Baby, zatrzymał się i do drzwi zapukał.

Ali-Baba drzwi otworzył i, zobaczywszy nieznanego kupca, zapytał:

— Czego życzysz sobie, dobry człowieku?

Kapitan pokłonił się i odpowiedział:

— Idę z dalekiej krainy, nie odmów mi gościnę! Jestem znużony drogą, ledwo poruszam nogą. Jutro z rana co żywo na targ pójdę z oliwą, a dziś noc już zapada, wicher szumi i gada, strachy chodzą po borze, a zmory po jeziorze. Wszakże jesteś bogaty, wpuść mnie do swej komnaty! Nie zawadzę nikomu, nocując w twoim domu.

— Wejdz do mego domu i przenocuj — rzekł Ali-Baba. — Chętnie udzielę ci gościnę, muły zaś twoje każe wprowadzić na podwórze, tak że przez okno pokoju będziesz mógł pilnować swoich skarbów. Ile mułów masz z sobą?

— Dziewiętnaście — odrzekł zbójca.

— A ile miechów z oliwą? — spytał Ali-Baba.

— Trzydzieści ośm — odpowiedział zbójca.

— Czy wszystkie pełne?

— Pełne.

— Ciężko zapewne było twoim mułom wlec miechy, pełne oliwy. Odpoczniesz więc ty i twoje muły.

<sup>21</sup>ośm — dziś popr.: osiem. [przypis edytorski]

Ali-Baba natychmiast kazał zagnać do podwórza wszystkie muły, a sam z kupcem wszedł do pokoju. Morgana podała jedzenie, aby gościa nakarmić. Ali-Baba zaś rozmawiał z nim o rozmaitych krajach, które kupiec zwiedził.

— Zapewne dużo cudów i dziwów widziałeś w tych krajach?

— Widziałem dziwy niezbadane, widziałem cuda niesłychane! — rzekł zbójca, trafnie udając kupca. — Widziałem ryby śpiewające, widziałem ptaki pływające. Widziałem drzewa, na których, zamiast owoców, rosną ludzkie głowy i gdy ktokolwiek chce je zerwać z gałęzi, wołają: „Nie ruszaj nas, nie tykaj nas, nie zrywaj nas!” Widziałem chałupki na kurzych łapkach. Chałupki te same się przenoszą z miejsca na miejsce, uciekają przed obcymi ludźmi, a do swoich własnych mieszkańców biegną na zawołanie, jak wierne psy. W tych chałupkach mieszkają czarownice z głowami sowimi i gotują w żelaznych kotłach zupę z macierzanek, z kostek nietoperza i z ogonków krecich. Widziałem też zakłęta krainę, gdzie panuje król Sen i król wicz Półsen. Gdy ludzie tej krainy zasypiają, nad głowami ich widać wyraźnie sny, które im się przyśniły. Sny te są trwałe i nie znikają wcale. Nad ranem, zbudziwszy się, każdy bierze swój sen za rękę i prowadzi do olbrzymiego złotego pałacu. Co noc nowe sny się rodzą i co rano pałac nowymi snami się zapelnia. Sam byłem w tym pałacu i zaznajomiłem się z kilkoma snami. Jeden z nich był zupełnie błękitny i tak mi się podobał, że dotąd śni mi się w nocy i prosi, żebym wrócił do nowego pałacu.

Ali-Baba z zachwytem słuchał opowiadania kapitana i wreszcie powiedział:

— Godzina jest już późna, a ponieważ jesteś zmęczony drogą i oglądaniem tylu cudów, więc nie chcę nadużywać twojej grzeczności i zmuszać cię do nowych opowieści. Życzę ci dobrej nocy i sam też idę spać.

Morgana weszła do pokoju, żeby talerze ze stołu uprzątnąć. Ali-Baba zwrócił się do Morgany.

— Morgano! — rzekł — jutro, skoro świt, chcę iść do kąpieli. Przygotuj mi dziś jeszcze talerz dobrego rosółu, żebym mógł zaraz po kąpieli pokrząć się rosółem.

Ali-Baba wstał, pożegnał gościa i wyszedł. Morgana też wyszła. Kapitan został sam w pokoju. Otworzył okno i wyjrzał na podwórze. Noc była jasna. Księżyc świecił. Muły stały na podwórzu. Światło księżyca połyskiwało na mordach mułów i na skórzanych miechach. Miechy, oświetlone srebrnym blaskiem księżyca, wyglądały na grzbietach mułów jak wielkie srebrzyste garby. Chłodny, nocny wietrzyk chodził po podwórzu. Było cicho dookoła i tajemniczo.

Kapitan długo stał w oknie i czekał, aż wszyscy w domu zasną.

Tymczasem Morgana zajęta była w kuchni gotowaniem rosółu. Pomagał jej w tym służący Ali-Baby, który się nazywał Abdalla. Wkrótce w lampie kuchennej zabrakło oliwy. Płomień pobłękitniał, zachwiał się kilka razy i zgasł. W kuchni zrobiło się ciemno. Morgana rzekła do Abdalli:

— Nie mogę po ciemku gotować rosółu, a w całym domu nie ma oliwy, bo zapomniałam dziś kupić. Jest noc i wszystkie sklepy są już zamknięte. Sama nie wiem, co mam zrobić?

— Poradzę ci, co masz zrobić — odpowiedział Abdalla. — W podwórzu stoją muły owego kupca, który u nas nocuje. Na mułach wiszą miechy skórzane. W miechach skórzanych znajduje się oliwa. Weź naczynie, idź na podwórze i zaczerpnij oliwy. Jutro rano powiesz Ali-Babie, ile oliwy zaczerpnęłaś, on zaś zapłaci kupcowi za oliwę.

— Masz słuszność — rzekła Morgana, wzięła natychmiast naczynie i poszła na podwórze.

Kapitan zdruział się długim czekaniem w oknie i położył się w ubraniu do łóżka, żeby, leżąc, wyczekiwać chwili, kiedy wszyscy zasną. Nie widział więc Morgany, która z naczyniem w rękę wybiegła na podwórze. Morgana zbliżyła się do dziewiętnastu mułów i do trzydziestu ośmiu miechów, na których świecił się srebrny blask księżyca.

Już wyciągnęła rękę z naczyniem do pierwszego z brzegu miecha, aby oliwy zeń zaczerpnąć, gdy nagle z miecha wydobył się szept głuchy:

— Czy już czas?

Morgana natychmiast opuściła rękę z naczyniem i odrzekła takim samym szeptem:

— Nie jeszcze.

Morgana zrozumiała, że w miechu znajduje się jakiś zbójca i że kupiec, nocujący w domu, jest też zbójcą, który chce Ali-Babę zamordować. Chciała się jednak przekonać, czy i w innych miechach ukrywają się zbójcy. Domyśliła się bowiem, że zbójcy biorą jej kroki za kroki swego kapitana. Podeszła więc do następnego miecha. Z drugiego miecha też wydobył się głuchy szept:

— Czy już czas?

— Nie jeszcze! — odpowiedziała Morgana.

Podchodziła Morgana po kolei do wszystkich miechów i z każdego miecha wydobywał się szept głuchy.

— Czy już czas?

Morgana zaś wciąż odpowiadała:

— Nie jeszcze.

Tylko ostatni, trzydziesty ósmy miech milczał i nie ozwał się żadnym szepem. Morgana zajrzała do milczącego miecha i zobaczyła, że pełen jest oliwy. Pobiegła z powrotem do kuchni i zamiast małego naczynia wzięła duże wiadro. Z wiadrem wróciła po oliwę, napełniła je po brzegi, znów pobiegła do kuchni i zagotowała oliwę na ogniu.

Gdy oliwa kipieć poczęła, Morgana z wiadrem wrzącej oliwy wysunęła się ciszkiem na podwórze i zbliżyła się do pierwszego z brzegu miecha. Podeszła jednak tak cicho, że zbójca w miechu ukryty nie słyszał jej kroków. Morgana uniosła wiadro w górę i wlała wrzącej oliwy do pierwszego miecha. Wrząca oliwa zadusiła pierwszego zbójcę.

Morgana podeszła do drugiego miecha i znowu wlała doń wrzącej oliwy. Drugi zbójca natychmiast skonał. Morgana po kolei wlewała wrzącą oliwę do wszystkich trzydziestu siedmiu miechów, a potem ukryła się w samym kącie podwórza, aby zobaczyć, co teraz kupiec zrobi.

Kupiec, a właściwie kapitan zbójców podszedł właśnie do okna i znów wyjrzał na podwórze. Księżyc świecił coraz mocniej i jaśniej. Muły i miechy skórzane, oświetlone blaskiem księżyca, wyglądały teraz niby wykute ze srebra. Straszno było spojrzeć na muły, bo stały nieruchomo, dźwigając na karkach trzydziestu siedmiu zmarłych. Ale kapitan nie wiedział o tym, co się przed chwilą stało. Ponieważ wszyscy w pałacu posnęli, więc postanowił zbójcom dać znak, aby wyszli z miechów i napadli na śpiących. Wyjął z kieszeni kamyk i rzucił w pierwszy miech. Nie przypuszczał, że rzuca kamykiem w umarłego. Kamyk z głuchym łoskotem o miech uderzył, ale miech pozostał, jak dawniej, bez ruchu. Nikt nie wyszedł z głębi miecha.

Kapitan po chwili cisnął znowu kamykiem w miech drugi. Ale i z drugiego miecha nikt się nie wynurzył.

Kapitan rzucił całą garść kamyków we wszystkie miechy naraz, ale na próżno. Umarli nie słyszeli uderzenia kamyków. Nie obchodziły ich już żadne znaki umówione. Obojętni byli na rozkazy swego kapitana.

Kapitan zdziwił się i pomyślał:

— Pewno moje zuchy śpią tak mocno, że nic nie słyszą. Muszę sam ich obudzić.

Morgana z ciemnego kąta podwórza widziała, jak kapitan wyskoczył na ziemię przez okno i szybko zbliżył się do dziesiętnastu mułów, oświetlonych księżycem. Nietoperze i ćmy nocne latały w jasnym, przezroczym<sup>22</sup> powietrzu.

Kapitan zajrzał do pierwszego miecha — i zdrętwiał. Zapach wrzącej oliwy owionął jego twarz wąsatą i brodatą. Nietoperze i ćmy nocne latały w jasnym, przezroczym powietrzu.

Kapitan po kolei zajrzał do wszystkich miechów i zrozumiał, że ktoś wrzącą oliwą zadusił wszystkich zbójców. Długo stał kapitan wpośród<sup>23</sup> dziesiętnastu swoich mułów. Stał nieruchomy i błądliwy. Myślał o tym, co ma teraz uczynić? Postanowił co prędzej wrócić do Sezamu i tam obmyślić plan zemsty. Przeskoczył przez niski płot podwórza i znikł w mroku nocnym.

Muły stały, jak dawniej, bez ruchu. Światło księżyca drgało na miechach skórzanych. Nietoperze i ćmy nocne latały w jasnym, przezroczym powietrzu.

<sup>22</sup>przezroczy (daw.) — przezroczysty. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>wpośród — dziś raczej: wśród, pomiędzy. [przypis edytorski]



Morgana widziała, jak kapitan przeskoczył przez płot i szybkim krokiem oddalił się od pałacu. Pomyślała więc, że niebezpieczeństwo, które groziło Ali-Babie i całemu domowi, minęło. Była zmęczona, wróciła do kuchni i, rzuciwszy się na łóżko, zasnęła.

\*

Nazajutrz z rana Ali-Baba wykąpał się w rzece i, wróciwszy do domu, rzekł do Morgany.

— Czyś przygotowała mi rosół, o który cię prosiłem?

— A jakże! — odpowiedziała Morgana, podając mu rosół — właśnie niosę rosół, abyś się posilił po kąpieli.

Morgana postawiła wazę rosółu na stole. Ali-Baba zasiadł do stołu i, pijąc rosół, wyjrzał na podwórze przez otwarte okno.

— Czemuż to muły stoją dotąd na podwórzu? — spytał Morgany. — Przecież kupiec miał o świcie wyruszyć na targ ze swoją oliwą?

— Nie każdy kupiec jest kupcem — odrzekła Morgana. — Te miechy skórzane, które widzisz na mułach, są właściwie trumnami. W każdej takiej trumnie skórzanej znajduje się jeden zbójca. Wszystkich więc zbójców było trzydziestu siedmiu. Tylko ostatni trzydziesty ósmy miech zawierał oliwę. Ów zaś kupiec, który u nas nocował, był kapitanem zbójców i na pewno chciał ciebie zabić.

— Wytłumacz mi to wszystko, bo nic nie rozumiem! — zawołał Ali-Baba, przestając jeść rosół.

Morgana opowiedziała mu wszystko, co się tej nocy stało, a potem dodała:

— Nie chciałam ciebie niepokoić, więc dotąd nie opowiadałam ci o tym, że dwa razy ktoś twój dom naznaczył kredą i czerwonym ołówkiem. Zobaczyłam te znaki i zrobiłam podobne na innych domach, aby w ten sposób pomylić tego, co by chciał twój dom po owych znakach poznać. Teraz jestem pewna, że to owi zbójcy twój dom naznaczyli.

— Morgano! — zawołał Ali-Baba. — Uratowałam ci życie! Pragnę cię za to nagrodzić. Ponieważ jesteś niewolnicą, daruję ci wolność. Od tej chwili jesteś mi wolną i równą!

Morgana podniosła oczy, pełne łez, i szepnęła:

— Jam ci uratowała<sup>24</sup> życie. Tyś mnie obdarzył wolnością. Wolność droższa mi jest niż życie. Nagroda, którą mi dałeś, jest większa stokroć niż moje zasługi.

Abdalla sprzątał pokój przyległy i słyszał całą rozmowę. Gdy Ali-Baba wyszedł z pokoju, Abdalla zbliżył się do Morgany ze czcią i z podziwem.

— Wolna jesteś? — zapytał.

— Wolna — odrzekła Morgana głosem wzruszonym.

— Cieszysz się? — pytał dalej Abdalla, który był niewolnikiem.

— Cieszę się — szepnęła Morgana.

— Przyglądam się ja tobie — rzekł Abdalla — i dziwuję się i nadziwować się nie mogę! To jedno słowo: wolność — zmieniło cię nie do poznania. Stałaś się daleko piękniejsza, oczy twoje nabrały blasku, głos twój brzmi śpiewniej, a ramiona wznoszą się co chwila, jakby czuły skrzydła na sobie.

I Abdalla tak się jej zaczął przyglądać, tak ją podziwiał i tak oczy przy tym rozszerzał, że Morgana w końcu zaśmiała się głośno i wesoło.

\*

Tymczasem kapitan wrócił do Sezamu. Czuł się samotny i opuszczony. Kochał bowiem wszystkich zbójców — i wszystkich naraz utracił. Usiadł na pniu malachitowym w głębi jaskini i mówił sam do siebie:

„Samotny muszę kryć się i chować!

Już kapitanem nie jestem wcale,

Bo nie mam zbójców, ukrytych w skale,

I nie mam komu kapitanować!...

<sup>24</sup>jam uratowała — dziś: ja uratowałam. [przypis edytorski]

Mądrość

Wolność, Nagroda

Po dzikich drogach, wśród drzew szelestu,  
Będę się błąkał nocą i ranem!  
Zgromadzę nowych zbójców czterdziestu,  
Aby znów zostać ich kapitanem!

Lecz pierwszej zemstę wykonać muszę,  
A zemsta będzie krwawa i sroga!  
Klnę się na moją zbójczą duszę,  
Że własnoręcznie zabiję wroga!”

Kapitan głęboko zamyslił się nad tym, jak ma teraz zemstę wykonać.  
Po chwili przysłał mu do głowy jakaś dobra myśl, bo uśmiechnął się i powiedział:  
— Plan, który teraz obmyśliłem, na pewno mi pozwoli zemścić się za moich trzydziestu siedmiu zuchów.

Kapitan przystąpił natychmiast do wykonania swego planu. Zgolił wąsy i brodę, tak że nikt by go poznać nie mógł. Przebrał się za kupca drogocennych kamieni. Wziął na plecy worek brylantów, topazów, rubinów i turkusów i poszedł do miasta.

Wynajął w mieście sklep na rynku, zappełnił sklep drogocennymi kamieniami i ogłosił w całym mieście, że się nazywa Hussen.

Zdarzyło się tak, że obok sklepu Hussena znajdował się sklep młodego Seffala, siostrzeńca Ali-Baby. Matka i ojciec Seffala od dawna umarli. Ali-Baba bardzo kochał swego siostrzeńca i, zdobywszy bogactwa, zbudował dla niego sklep z dywanami.

Hussen wkrótce zaznajomił się ze swoim sąsiadem i, dowiedziawszy się, że jest siostrzeńcem Ali-Baby, właściciela pałacu, starał się z nim zaprzyjaźnić. Miał bowiem nadzieję, że z pomocą Seffala przedostanie się do pałacu, jako jego przyjaciel.

Obydwaj tak siebie wzajem<sup>25</sup> polubili, że Hussen miał nawet zamiar namówić Seffala, aby został zbójcą. Lecz odłożył ten zamiar na potem, bo chciał przede wszystkim wykonać zemstę.

Nikt nie wiedział o tym, co zaszło w domu Ali-Baby, bo Morgana kazała zwłoki trzydziestu siedmiu zbójców pogrzebać w ogrodzie, wśród gęstych krzaków. Ali-Baba żył więc spokojnie, wdzięczny Morganie za wszystko, co dotąd uczyniła.

Hussen często bardzo zapraszał Seffala do swego mieszkania na ucztę sute i wspaniałe. Seffal chciał w końcu i Hussena w domu swym uczcić, ale pokój, w którym mieszkał, był tak mały, że trudno było w nim ucztować. Dlatego też Seffal poszedł pewnego dnia do pałacu swego wuja — Ali-Baby i rzekł:

— Mam przyjaciela, bogatego i szlachetnego Hussena. Wyprawił dla mnie tyle wspaniałych uczt, że pragnę teraz choćby jedną ucztę z kolei dla niego wyprawić. Pokój mój jest tak mały, że trudno w nim ucztować. To też chciałem cię prosić, abys wyprawił ucztę dla mego przyjaciela w swoim pałacu.

Ali-Baba chętnie się na to zgodził i nazajutrz Seffal z Hussenem przyszli do pałacu.

Gdy wszyscy zasiedli do stołu, Hussen nagle powiedział:

— Przepraszam cię, szlachetny wuju mego przyjaciela, ale nie będę jadł potraw, które dla mnie kazałeś przyrządzić.

— Czemu? — spytał Ali-Baba.

— Nie jadam wcale soli — odparł Hussen — a przypuszczam, że w twoim domu, jak we wszystkich innych, kucharka soli każdą potrawę.

— Łatwo temu zapobiec! — zawołał Ali-Baba. — Pójdę sam do kuchni i powiem kucharce, aby zrobiła dla ciebie potrawy bez soli.

Ali-Baba pobiegł do kuchni i rzekł do Morgany:

— Morgano! Przygotuj dla mego gościa potrawy osobno — bez soli.

— Dlaczego? — spytała Morgana, bardzo zdziwiona tą wiadomością.

— Dlatego, że gość mój soli nie jada — odpowiedział Ali-Baba.

<sup>25</sup>wzajem — dziś raczej: nawzajem. [przypis edytorski]

— Dziwi mnie to bardzo! — zawołała Morgana. — Soli nie jada się tylko w domu swego wroga, nie zaś w domu przyjaciela. Może ten gość uważa ciebie za swego wroga?

— Nie! — odpowiedział Ali-Baba. — Gość mój jest przyjacielem wielkim mego siostrzeńca Seffala. Jest to bogaty i szlachetny kupiec i nadzwyczaj mi się podoba.

— Dobrze — rzekła Morgana — podam mu potrawy bez soli.

Ali-Baba wrócił do pokoju, gdzie czekali na niego Hussen i Seffal. Po chwili Morgana przyniosła półmiski, pełne wonnego i smacznego jedzenia. Jedne potrawy stawiała przed Ali-Babą i Seffalem, a drugie bez soli — przed Hussenem.

Morgana pilnie i badawczo przyglądała się Hussenowi i zauważyła od razu nóż, ukryty na jego piersiach, bo koniec rękojeści tego noża z lekka przedarł mu ubranie i połyskiwał tak, jak mały złoty guzik.

Gdy uczta była skończona, Morgana sprzątnęła ze stołu i wyszła. Wówczas Hussen postanowił zemstę swoją wykonać. Począł więc pić wino i wołał co chwila:

— Kto mnie lubi — ten ze mną wypije.

Chciał bowiem spoić Ali-Babę i Seffala i potem pijanego Seffala zmusić do tego, aby zabił po pijanemu swego wuja. Po zamordowaniu wuja zamierzył zwerbować Seffala na rozbójnika.

Ale w chwili, gdy Ali-Baba i Seffal pili piętnasty czy też szesnasty kielich wina, drzwi pokoju rozwarły się na oścież — i weszła Morgana, a za nią Abdalla z bębenkiem, otoczonym dzwoneczkami.

— Czy pozwolisz mi, Ali-Babo, zatańczyć przed gościem mój najpiękniejszy taniec? — spytała Morgana.

— Tańcz! — zawołał Ali-Baba. — Taniec twój na pewno rozweseli mego gościa.

Abdalla uderzył ręką w bębenek. Bębenek zabębnił, dzwoneczki zadzwoniły. Morgana z lekka zakolysała się w biodrach i uniosła ręce do góry.

Abdalla mocniej w bębenek uderzył i Morgana zaczęła płaść. Przebierając nieopatrzenie nogami, przeginała się zrećnie to w jedną, to w drugą stronę. Załamywała ręce, to znowu podnosiła je w górę i łączyła nad głową.

Hussen udawał, że jest zachwycony tańcem Morgany, ale w głębi duszy niecierpliwie wyczekiwał chwili, kiedy Morgana przestanie tańczyć i wyjdzie z pokoju. Morgana tymczasem przerwała taniec i rzekła:

— Teraz chcę pokazać naszemu gościowi inny taniec z mieczem, daleko ładniejszy od pierwszego.

— Dobrze! — zawołał Ali-Baba. — Pokaż nam taniec z mieczem, bo jest to najpiękniejszy taniec na świecie.

Abdalla podał Morganie miecz i znów zabębnił i zadzwonił.

Morgana z mieczem w ręku wirowała po pokoju. Potem nagle stanęła, jakby się na kogoś zacięła. Błyskając mieczem, to zbliżała się do Hussena, to oddalała się od niego. Aż niespodzianie, zbliżywszy się do gościa, uderzyła go mieczem w piersi tak celnie, że Hussen zachwiał się i martwy zsunął się na ziemię.

— Coś uczyniła? — zawołał Ali-Baba. — Jak mogłaś zabić mego gościa?

— I mego najlepszego przyjaciela? — dodał Seffal.

Morgana wyjęła miecz, ukryty na piersi Hussena, pokazała go Ali-Babie i rzekła:

— Nie był to ani gość, ani przyjaciel, ale ten sam zbójca, który niegdyś u nas nocował. Od razu go poznałam, chociaż zgolił wąsy i brodę. Od razu też spostrzegłam miecz, ukryty na jego piersi. Przyszedł tutaj, aby zabić ciebie, Ali-Babo.

— Morgano! — zawołał Ali-Baba. — Po raz wtóry uratowałaś mi życie! Chcę cię znów za to wynagrodzić. Postanowiłem więc, abys została żoną mego siostrzeńca. Dam wam bogactwa wszelkie, gdyż mam ich pod dostatkiem.

— Wuju! — rzekł Seffal. — Taniec Morgany i jej mądrość tak mnie oczarowały, że będę szczęśliwy, jeśli Morgana zgodzi się zostać moją żoną.

Morgana zgodziła się i nazajutrz odbyło się huczne wesele.

Po weselu Ali-Baba poszedł do Sezamu, aby dla Seffala i Morgany przynieść dwa worki dukatów, dwa worki brylantów i dwa worki turkusów. Długo Ali-Baba nie był już w Sezamie, gdyż bał się zbójców. Teraz, po śmierci trzydziestu siedmiu zbójców i trzydziestego ósmego — Hussena, śmieiej mógł wejść do zaklętej jaskini. Dwóch bowiem

Broń

Broń, Wróg, Taniec

Mądrość

tylko zbójców brakowało do liczby czterdziestu. Właśnie głowy dwóch brakujących zbójców Ali-Baba ujrzał w Sezamie. Odtąd więc mógł swobodnie odwiedzać Sezam i czerpać zeń skarby niezliczone.

Morgana i Seffal żyli szczęśliwie i wesoło.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/klechdy-sezamowe-ali-baba-i-czterdziestu-zbojcow>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Leśmian, Klechdy sezamowe, Wydaw. J. Mortkowicza, Kraków, Warszawa 1913

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Anna Ficek, Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska, Weronika Trzeciak.

Okładka na podstawie: [Andrey Zeigarnik@Flickr](mailto:Andrey Zeigarnik@Flickr), CC BY 2.0

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na [stronie wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).